

# DZIŚ i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok IX

Warszawa, 29 marca 1953 r.

Nr 13 (383)

Giuseppe RICCIOTTI

tłum. A. H. URBAŃSKI

# UKRZYŻOWANIE

DO wykonania wyroku ukrzyżowania nie trzeba było wielkich przygotowań. Pionowy pal stał zawsze na miejscu stracenia, a gdyby go nie było, można było ustawić nowy w kilku minutach. Poprzeczny drąg, który miano umieścić na ramionach skazańca, przygotowywało się kilku uderzeniami siekiery. Należało tylko wybrać wykonawców — żołnierzy, przekazać im skazanego, by udali się na ustalone miejsce. Miejsce dla ukrzyżowania Jezusa zostało wybrane według zasad, które już podaliśmy. Na północ od miasta, zaraz za murem, był mały występ skalny, górujący na kilka metrów ponad otaczający go teren. Z racji swego ukształtowania, wzniesienie to zostało nazwane plastycznie przez mieszkańców „Czaszką”, z łacińska „Calvaria”, a z aramejska „Golgota” (po hebr. „Gulgoleth”). Miejsce było bardzo dogod. ne dla przeprowadzenia ukrzyżowania, gdyż to wzniesienie doskonale wystawiało na widok publiczny skazanego, a położenie zaraz obok bramy miasta, którą przechodziło wiele ludzi, sprzyjało publikowaniu wyroku. Oprócz tego obok tej „Kalwarii” były także grobowce, co zgadzało się z zasadą, że krzyżować należało w miejscu, gdzie grzebano umarłych...

...A więc do tego miejsca miał dojść Jezus, by tu zawisnąć na krzyżu. Z miejsca wyjścia, tzn. z fortecy Antonii droga nie była długa, gdyż idąc najkrótszym szlakiem nie było więcej niż kilometr. Choć w owym czasie z racji święta Paschy ulice były przepelnione, to jednak pochód umyślnie przechodził dłuższą trasą, bardziej uczęszczaną, a to z racji już podanej, by mianowicie wyrokowi nadać większy rozgłos. Najbardziej zainteresowani w tym byli arcykapłani i członkowie Sanhedrynu, którzy w triumfie odniesionego zwycięstwa szli za skazanym i zapewne nie chcieli stracić okazji, by wobec ludu jak najdłużej figurować jako triumfatorzy, a jednocześnie wystawić na upokorzenie skazanego.

Ale i oni już od początku mieli zakosztować goryczy. Aby udać się na miejsce wykonania wyroku, żołnierze uformowali pochód. Głównym skazańcem był Jezus, następnie szło z Nim jeszcze dwóch pospolitych zbrodniarzy, którzy przy tej okazji mieli również ponieść śmierć. Każdy ze skazańców miał swoją tabliczkę, która podawała wszystkim do wiadomości, jaką zbrodnię dany człowiek popełnił. Tabliczka Jezusa nosiła napis w trzech językach, jakie były w powszechnym użyciu w tej okolicy, a więc po aramejsku, po grecku i po łacinie. Treść jej była następująca: „Jezus Nazareński Król Żydowski”. Tekst ten podyktował sam Piłat. Czujni członkowie Sanhedrynu odczytali pobieżnie ten tekst po drodze, a jeszcze lepiej i dokładniej zapoznali się z nim, gdy został przybity do krzyża Jezusa. Będąc prawnikami niejako z urodzenia, wnet spostrzegli w tym napisie kapitalny błąd. Przecież ten skazaniec nie dlatego siedział na śmierć, że był

rzeczywiście „królem żydowskim”, jak to zdawało się wynikać z napisu, ale dlatego, że się nim sam ogłosił, chociaż rzeczywiście „królem żydowskim” nie był. Dotknięci do żywego, udali się z pośpiechem do prokuratora i z wielką wymową starali się mu unoczyć pomysłkę, którą należało poprawić nawet we własnym interesie prokuratora. Przecież ten dobry ludek, czytając taki dokument urzędowy, mógł obrazić się, że niby ukrzyżowano ich króla — a to tym bardziej, że nie tak dawno tenże dobry ludek oświadczył publicznie i uroczyście, że jego jedynym i ukochanym królem jest cesarz rzymski.

„Mówił tedy do Pilata przedniejsi kapłani żydowscy: Nie pisz: król żydowski, ale on sam mówił: Jestem królem żydowskim. Odpowiedział Pilat: Com napisał, napisałem” (Jan, 19, 21-22). Piłat znowu odnajduje samego siebie. Obecnie, gdy już nie lęka się denuncjacji w Rzymie, mści się za doznana porażkę i odpowiada z tą cechą stawania w poprzek i z tą pogardą sobie właściwą wobec tych członków Sanhedrynu, którzy starali się wykazać swoją polityczną lojalność.

To była pierwsza gorycz, której musieli zakosztować triumfatorzy. Przez cały ten dzień odczytując urzędową tablicę, zredagowaną przez reprezentanta Cesarza, odczuwali przez to jakby natrętne echo, że Jezus umiera rzeczywiście jako „Król Żydowski”.



Złożenie do grobu (Obraz nieznanego malarza z drugiej połowy XV w)

W YRUSZYWSZY z Antonii, cały orszak posuwał się wolno przez zapchane świętującym tłumem ulice. Wielu z tych, którzy wrzeszczyli przed pretorium Pilata, powróciło do swych domów, by przygotować u siebie paschalną ucztę na wieczór. Synedryści, nie potrzebując już ich okrzyków, zezwolili na to. Ale jeszcze kilku starszych szło za orszakiem, by być pewnym, że wszystko odbyło się właściwie i zakończyło się jak trzeba. Drwin i pośmiewisk, którym motłoch obdarzał po drodze skazanych, na pewno nie zabrakło, ale najpotworniejsze obelgi skierowane były przeciwko Temu, którego

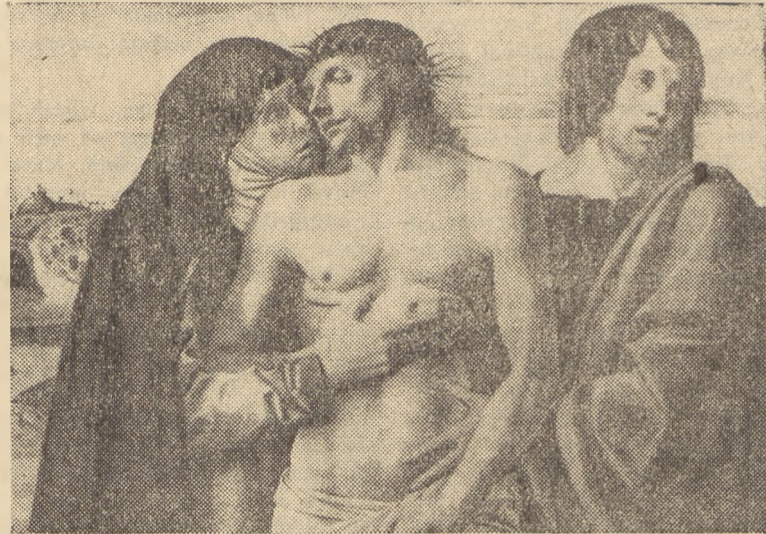
starsi wskazywali motłochowi pogardliwym gestem: przeciwko Rabbimu z Galilei. On bardziej niż ci dwaj zwykli zbrodniarze był godzien pośmiewiska.

Jezus dźwigając na ramionach poprzeczny drąg krzyża postępował z trudem. Było już blisko południa. Prawie przez całą noc musiał znosić szereg twardych prób moralnych i fizycznych o niezwykłej sile wyczerpującej. A więc najpierw pełne miłości i smutku zarazem pożegnanie z Apostołami w Wieczerniku; po tem Gethsemani, uwięzienie, proces przed Sanhedrynem, drwiny w domu Kaifasza, proces przed Piłatem, a w końcu straszliwe biczowanie — to wszystko odebrało mu wszelkie siły. Pod ciężarem drąga Jezus chwiało się, potykał co krok, mógł każdej chwili runąć na ziemię, by się już więcej nie podnieść. Centurion, który dowodził żołnierzami, przejął się stanem skazańca, bo mogło się wydarzyć, że nie będzie mógł wykonać do końca swego polecenia albo też cała akcja bardzo się przedłuży, co by nie wyszło mu na pochwałę. Wów czas zastosował znaną metodę „rekwizycji”.

Przechodził obok przypadkowo niejaki Szymon z Cyreny<sup>1)</sup>, którego ewangelista Marek przedstawia swoim czytelnikom w Rzymie jako ojca Aleksandra i Rufusa. Szedł on z pola, gdzie zapewne pracował, a wracał już do domu. Centurion widząc, że zachodzi konieczność, „zarekwirował” go i nakazał nieść za Jezusem ów drąg poprzeczny, którego Jezus nie mógł już dźwigać dalej.

Nie mamy powodów do myślenia, że ów Szymon znał Jezusa już uprzednio, lub że był Jego uczniem. A więc rozkaz niesienia drąga wcale nie mu siał być mu miły. Jeśli później syn jego Rufus wybił się na znakomitość w społeczności chrześcijańskiej Rzymu a żona tegoż Szymona z całym szacunkiem jest nazwana przez św. Pawła imieniem „matki” to można zgodzić się, że pomoc udzielona Jezusowi, choć może wbrew woli, w sposób nam nieznanym spowodowała wspaniałe rezultaty.

<sup>1)</sup> Trzeba pamiętać, że w Cyrenie istniała stara i bardzo czynna gmina żydowska, która utrzymywała żywe stosunki z Jerozolimą.



Giovanni Bellini — Pietà

Szymon nie był jedynym, który dał wsparcie Jezusowi. Inna pomoc, tym razem już spontaniczna, przyszła do Niego ze strony niewiast. Tylko Łukasz mówi nam o tym, on jest bowiem ewangelistą niewieściej pobożności. Być może wówczas, gdy zdjęto z ramion Jezusa ciężary drąg, Jezus wyprostował się i nieco przyszedł do siebie, a jednocześnie spostrzegł wśród tłumu wrogiego lub obojętnego grupę niewiast, która szła za Nim i płakała ze współczucia. Były to „córki jerozolimskie” czyli mieszkanki tego miasta, ale, być może, przylączyły się do nich niektóre z tych niewiast galilejskich, które zazwyczaj towarzyszyły Jezusowi. Z pewnej notatki rabinistycznej zdaje się wynikać, że w Jerozolimie powstało stowarzyszenie szlachetnych niewiast, których zadaniem było pomóc w możliwy sposób tym, którzy byli skazani na śmierć — a więc np. dać im pić wino zmieszane z kadzidłem, co było uważane za napój znieczulający. Może niewiasty, które współczuły Jezusowi, należały do tego stowarzyszenia, a jeśli znały Jezusa choćby ze słyszenia, to tym bardziej w sposób serdeczny wyrażały Mu swoje uczucie.

To ich uczucie zostało przez Jezusa odwzajemnione. Mając przed oczyma niedaleką klęskę Jerozolimy i jej kompletne zburzenie, widział On owe cierpienia, które będą musiały zmosić szczególnie niewiasty i matki podczas katastrofy: przylączyła się więc ze współczuciem do tej matczynej boleści, napominając jednocześnie przysze ofiary słowami: „Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nade mną, ale same nad sobą płaczcie i nad synami waszymi. Bo oto nadchodzi dzień, kiedy mówić będą: Błogosławione nieplodne i lona, które nie rodziły, i piersi, które nie karmiły. Wtedy zaczną mówić do gór: Padnijcie na nas; i do pagórków: Przykryjcie nas. Albowiem, jeśli to się dzieje z drzewem zielonym, cóż się z uschłym stanie?” Jeżeli bowiem ze skazanym niewinnie takie rzeczy się dzieją, co tak gorzko oplakują owe niewiasty w dniu dzisiejszym, cóż to będzie po czterdziestu latach, gdy katastrofa obejmie „naród grzeszny”, lud obciążony nieprawością, ród bezbożnych, „synów zatracenia”, jak się wyraził prorok Izajasz?

KIEDY cały orszak przybył już do „Kalwarii”, zaczęto bez straty czasu wykonywać wyrok na skazańcach. Jezusowi, a także i dwóm innym, podano wino zmieszane z mirrą<sup>2)</sup>, które miało skutecznie ode-

W NUMERZE m. in.:

- K. BIAŁOSTOCKI — Jałmużna wielkopostna
- K. MORAWSKI — Nieznany uczeń
- K. IŁŁAKOWICZÓWNA — Wielkopostne żale
- L. PROROK — Gdy miastu wytoczano nowe granice
- Z. LICHNIAK — Ludzie i Lewanty
- J. PILSKI — Maroko
- M. NOWACKI — „Komuniści” Aragona

brać uczucie. Jezus jednak, zaledwie przyłożył usta do tego napoju, nie przyjął go wcale, chcąc w pełni swia domości pić do ostatniej kropli ten kielich, który Mu został podany przez Ojca Niebieskiego.

Wreszcie rozebrano wszystkich trzech. Być może, że z powodów, które wyżej podaliśmy, pozostawiono im jakąś zasłonę, jak tego wymagało po uczucie wstydu u Żydów. Szaty skazańców stawały się własnością żołnierzy; dzielili się więc nimi oni między sobą. Tak też się stało z szatami Jezusa. Naooczny świadek może nam opowiedzieć, jak dokonano tego podziału.

Zwykłym ubraniem ówczesnego Żyda były dwie osobne części ubioru. Zewnętrzna, czyli płaszcz oraz część spodnia, czyli tunika. Płaszcz składał się z kilku kawałków sukna zeszytych razem. Tunika zaś mogła nie mieć szwów, tkana od góry do dołu z jednej nici. Taka była tunika arcykapłana, o której mówi Flawiusz Józef (Starożytn. Żyd. III, 161), taka też była tunika Jezusa.

„Żołnierze tedy, gdy Go ukrzyżowali, wzięli szaty Jego i podzielili na cztery części, dla każdego po jednej, i tunikę. A tunika nie była szyta, ale od góry całodziana, Mówili tedy jeden do drugiego: Nie krajmy jej, ale rzucmy o nią los, czyja ma być”. (Jan, 19,23-24). Płaszcz można było rzeczywiście bez większej straty podzielić w miejscach zszycia, ale tunika z jednej nici, gdy ją przekroić na czworo, straciłaby wielce na swej wartości. Dlatego też żołnierze postanowili oddać ją temu, komu przypadnie wyrokiem zruczonych kości. Mieli je ze sobą, by zabić długie godziny czasu podczas pilnowania ukrzyżowanych. Ale w tej ich czynności ewangelista dostrzega wypełnienie się proroctwa mesjanistycznego, zawartego w Psalmie 22,19 (hebr.), który mówi: „Podzielili między siebie szaty moje, a o suknię moją rzucili los”.

Pozbawiony szat, Jezus został położony na ziemi, ramiona rozciągnięto wzdłuż drąga, który niósł u-

<sup>1)</sup> Marek (25,23) mówi o „winie zmieszanej z mirrą”, co zdaje się być wyrażeniem bardziej ścisłym. Mateusz (27,34) mówi o „winie zmieszanej z żółcią”. Może jest to wyrażenie ogólne, oznaczające każdą gorycz, a więc i tę, która ma mirrę. A może też tłumacz grecki Mateusza z aramejskiego zamiast słowa „mora” ze słowem „Merorah” — żółć, a ta jego zmiana mogła wynikać pod wpływem tekstu z Psalmu mesjanistycznego 69,22 (hebr.).

(Dokończenie na str. 2)



# UKRZYŻOWANIE

przednio, tu je przygwożdżono. Tam na wół przybito, został podniesiony do góry na pal, wkopany uprzednio w ziemię. Tu umieszczono Go na wy stającym kolku („sedile“), a wresz cie przybito Mu także nogi.

Krzyż Jezusa stał w środku, a po Jego bokach dwa krzyże łotrów. Na krzyżu Jezusa umieszczono tabliczkę z wypisaną winą Skazanego.

Czynności ukrzyżowania zostały zakończono w momencie, gdy słońce już nieco przekroczyło południe...

Podczas czynności krzyżowania zdaje się, że Jezus zachował całko wite milczenie. Jego zniekształcone ciało, wyczerpane ranami, zdawało się już nie posiadać żadnej fizycznej siły; Jego myśl była pochłonięta Ojcem Niebieskim, któremu składał ofiarę z samego siebie. Pierwsze Je go słowa jakie wymówił, a które zo stały nam przekazane, zawierają myśl, choć także skierowaną do Ojca w niebie, obejmującą jednak tych, którzy byli wokół Niego na ziemi. Może właśnie w tym czasie, gdy przybijano Mu ręce i nogi, Jezus zawołał: „Ojciec! odpuść im, bo nie wiedzą co czynią!“ (Łukasz, 23, 34) <sup>1)</sup>. Ci, dla których Jezus błaga o przebaczenie, to nie tyle nie świadomi żołnierze, wbijający gwoź dzie, ile raczej ci wszyscy, którzy świadomie przygotowali wszystko, by dokonało się to, co się właśnie do konywało. Nawet i im Jezus udzie la swego przebaczenia i prosi o nie swego Ojca, bo „nie wiedzą“ teraz tego, czego uprzednio nie chcieli po znać i odrzucili od siebie. Skutek minionej winy przywieziony jest tu z łaskawości jako usprawiedliwienie dla obecnie dokonywanego się przestępstwa.

Już z wysokości krzyża Jezus spo gląda zamglonymi oczyma, ale jesz cze dość przenikliwie na to wszyst ko, co dzieło się na dole i obok Nie go. W dole arcykapłani i członkowie Sanhedrynu rozmawiali z miną triumfatorów; byłoby raczej wska zane, by powrócili do swych domów i czuwali nad dobrymi Izraelitami w czasie ich ostatnich przygotowań do uczytu paschalnej; mimo to jednak woleli opóźnić swój powrót, by na cieszyć się zwycięstwem na miejscu.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

Przechodzili tu i tam obok trzech krzyży, od czasu do czasu rzucali po gardliwe spojrzenie na środki, do któ rym wskazywali nań, kiedy prze chodził ktoś z ich znajomych, a sta nąwszy przed krzyżem z rękoma za łożonymi do tyłu, przemawiali do Jezusa wprost: „Hej! ty, co burzysz świętynię Bożą i odbudowujesz ją w ciągu trzech dni, ratuj siebie same go. Jeśliś Synem Bożym, zstąp z krzyża!“ Przechodzący ludzie, przy gnienieni powagą tych, którzy ich zatrzymali, powtarzali za arcykapła.

nami słowa naigrawania przeciw Jezusowi.

Inni członkowie Sanhedrynu wole li znowu stosować argumenty „ad ho minem“, a jednocześnie jakby stwo rzyć apologę swych czynów. „Imnych ccałł, a sam siebie ocałł nie może. Jeśli jest królem Izraela, niechże te raz zstąpi z krzyża, a uwierzymy mu! Ufał w Bogu, niechże go teraz, jeśli chce, wybawi, powiedział prze ciecz, że jest Synem Bożym!“ (Ma teusz, 27, 40-43). Ale z krzyża nie było żadnej odpowiedzi na te wezwa nia; byłoby to zresztą daremne dla wzywających.

PO bokach Jezusa wisielei dwaj łotrzy; ale nawet od nich szły ku Jezusowi naigrawania. Mateusz i Marek mówią w liczbie mnogiej, że i łotrzy lżyli Go; ale jest to tzw. „plu ralis categoriae“, to znaczy, że obelgi wychodziły także od „kate gorii“ złoczyńców, bez wyszczegół nienia, czy dopuszczała się tego ca łość owej „kategorii“ czy też tylko jej część, Łukasz zaś wyjaśnia, że tylko jeden lżył, a drugi polecał się Jezusowi. Łotr, który miotał obelgi, być może aby pomóc w jakikolwiek sposób swój nieszczęsny los, a mo że też dlatego, iż nadzieję uratowa nia przez Jezusa została pogrzebana, powtarzał słowa „Jeżeliś ty jest Chrystus (Mesjasz), wybawże sa mego siebie i nas“. Ale drugi łotr nie podzielał takich myśli i napomni nał swego kolegę słowami: „Ani ty się Boga nie boisz, choć tę samą po nosisz karę. My co prawda sprawie dliwie, służązł bowiem zapłatę za uczynki odbieramy, ten wszakże nic złego nie uczynił“ (Łuk., 23, 40-41). Cała moc tego napomnie nia leżała w słowie „boisz“, z którym łączy się „ani“. Jeśli nie masz szacun ku dla Boga, to przynajmniej lękaj się Go, gdyż znosisz tę samą ka rę, co i niewinny Jezus. Widocznie ten dobry łotr znał ze słyszenia Je zusa z Nazaretu i wiedział o Jego dobroci, Jego cudach i o królestwie Bożym przez Niego głoszonym. Oprócz tego miał resztki prawnego sumienia mimo swej zbrodni. W o bliczu śmierci resztki te wydobywa ją się na powierzchnię i okrywają całą przeszłość. Przed śmiercią łotr ten chwytą się ostatniej nadziei, ja ka mu pozostała, a mianowicie uf ności w tym sprawiedliwym, niesłusz nie ukrzyżowanym. Zwraca się więc do Jezusa i prosi Go: „Panie, wspom nij na mnie, gdy przybędziesz do królestwa swego“, tj. gdy jako pe len chwały król zapanujesz w tym królestwie, które głosiłeś. Jezus mu odpowiedział: „Zaprawdę powie dam tobie, dziś ze mną będziesz w raju“. Chociaż nie wiemy dokładnie, jaki sens nadawano w czasach Jezusa <sup>2)</sup> słowu „raj“, to jedno jest pewne, a mianowicie, że oznaczano nim miejsce przebywania dusz sprawiedli wych po śmierci, a więc analogicz nie do wyrażenia „łono Abrahama“.

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

Wśród tych osób, które Jezus z wysokości krzyża spostrzegł na dole,

## Dokończenie ze str. 1

była tylko jedna mała grupka, która Go mogła pocieszyć. Ale czyż to mia ła być pociecha, a nie raczej powięk szenie bólu? Co prawda grupa ta składała się z osób bliskich i przy jaznych, którym prawo rzymskie poz wałało być obecnymi przy egzekucji, byleby tylko nie starali się zbliżyć zbyt blisko i nie usiłovali w czymś ul żyć skazańcowi, zresztą żołnierze na straży nie dopuściliby ich i tak blis ko krzyża. Imiona tych osób, stoją cych w małej grupce blisko krzyża, zanotowane są w Ewangelijskiej przez na ocznego świadka, który jednak nie wymienia samego siebie, a tylko jak zwykle mówi o „uczniu, którego (Je zus) miłował“. A więc, oprócz Jana grupę tę tworzyli: „Matka Jego, (Je zusa), i siostra matki Jego, Maria Kleofasowa (Alfeusza), oraz Maria Magdalena (Jan, 19, 25) <sup>4)</sup>. Synop tycy ze swej strony, po opisanu śmierci Jezusowej, mówią i o dru giej jeszcze grupie, liczniejszej i bar dziej oddalonej od krzyża. Były to niewiasty, które plakały i lamento wały. Należały one do tych kobiet, któ re wspomagały pod względem mate rialnym działalność Jezusa i Aposto łów i przyszyły za Jezusem z Galilei do Jerozolimy (Mateusz, 27, 55-56; Marek, 15, 40-41). Wśród niewiast tej drugiej grupy są wymienione następujące: „Maria Magdalena“ (jak i w pierwszej grupie), „Maria, matka Jakuba Mniejszego i Józefa“ (jest to ta sama osoba, co Maria, żona Kleofasowa pierwszej grupy), następnie „Salome“ i „matka synów Zebedeuszowych“, te dwie ostatnie nazwy dotyczą jednej i tej samej o soby. Ze przynajmniej dwie te same niewiasty zostały wymienione w oby d wu grupach, to nie powinno nas dzi wić, bo nie chodzi tu o ten sam czas. Mianowicie jeszcze przed śmiercią Jezusa jest mowa o grupie pierwszej, bliższej Jezusowego krzy ża, a po śmierci o drugiej, stojącej bardziej z dala. Niektóre więc niewias ty mogły przejść w międzyczasie od jednej grupy do drugiej.

OBOK krzyża stała wraz z umiło wanym uczniem Matka Jezusa. Czy Jej widok był dla Ukrzyżowanego pociechą? Jak straż przy krzyżu nie pozwoliła Jej zbliżyć się zbyt blisko do Syna, tak też wbite gwoździe nie dozwalały Jezusowi na żaden gest w odniesieniu do Matki. Jedynie wzro kiem mogli się porozumieć. Płacz przeskadzał Marii, by znaleźć słowa, a Jezus już nie miał sił. Spoglądała Matka ku Synowi i może przychodzi ło Jej na myśl, że oto te samo człon ki, które w jedyny na tym świecie sposób ukształtowały się w Jej łonie, teraz stały się przedmiotem odrzy. Syn spoglądał ku Matce i myślał także: oto Ona, którą ogłoszono „błogosławiona między niewiastami“, teraz jest jedynie przedmiotem naj wyższego współczucia. W pewnym momencie jednak Jezus zebrałszy swe siły i dając znak głową swej Matce rzekł: „Niewiasto, oto syn twój“, a następnie zwracając się do ukochanego ucznia, mówi: „Oto matka twoja!“ W tym swoim testamen cie umierający już Jezus łączył ra zem dwie swoje największe miłości na ziemi: Niewiastę z Betlejem i o wego młodzieńca, który odczuł ude rzenia Jego serca podczas Ostatniej Wieczerzy. Od tego dnia Jan zabrał Marię do swego domu.

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

Ukrzyżowany gasł z każdą chwilą. A wokół Niego, całkiem niespodzie

wanie, zaczęło gasnąć również i świa tło słoneczne. „A od godziny szóstej całą ziemię zaległy ciemności aż do godziny dziewiątej“ (Mateusz 27, 45), czyli od południa do 3 po południu. Wyrażenie „całą ziemię“ oznacza jedynie Judeę, jak i gdzie indziej w Biblii hebrajskiej.

W jaki sposób dokonało się to za ciemnienie się dnia? Tego nie powie dziano. Nie było to na pewno zaćmie nie słońca, gdyż podczas pełni księ życa, która wówczas była, jest to nie możliwością. Podkreślili ten fakt już w starożytności np. Orygenes, św. Hieronim, Jan Chryzostom. Co praw da Pseudo-Dionizy Areopagita opo wiada, że on sam w Heliopolis był świadkiem całkowitego zaćmienia słońca na całym świecie w chwili zgonu Jezusa, a wyjaśnił ten feno men jako anormalny, gdyż księżyc cofnął się niejako, by zakryć słońce (Epist. VII. ad Polycarpum), ale ca ła to opowiadanie jest zwykłą fan tazją, bo dzisiaj jest już udowodnio ne, że ten nieznan autor nie pisał tych słów przed V. w. po Chr., a je go uwagi mają tę wadę, że nie uwzględniają rozsądnych słów po przednich pisarzy, których wspomi nieliśmy. Również i zaćmienie, o którym mówi Flegon, wyzwoleniec Hadriana, wspomniane potem przez niektórych pisarzy (Orygenes, Contra Celsum, II, 33) zdarzyło się w 32 r., dlatego nie można go brać pod uwa gę. Dla ewangelistów te ciemności są bez wątpienia wydarzeniem nadzwy czajnym, cudownym, które towarzy szyło śmierci Jezusa, podobnie jak nie zwykle wydarzenia towarzyszyły Je go narodzinom. Czy te ciemności nastąpiły na skutek jakiejś ciężkiej chmury, czy w inny sposób, tego nie możemy dziś powiedzieć.

Pośród tej ciemności natury Jezus gasł powoli w agonii, która trwała około trzech godzin. Ewangelistów na ten czas zaciągają zasłonę pełną sza cunku i tajemnicy. Ciało z każdą chwilą traciło żywotność i Krew uchodziła poprzez r



Kazimierz BIAŁOSTOCKI

# Jałmużna wielkopostna

JEDNĄ z trzech zasadniczych, zalecanych przez Kościół praktyk wielkopostnych, związanych nieodłącznie i organicznie z duchem tego okresu, jest jałmużna. Sposób, w jaki wskazanie to jest obecnie rozumiane i praktykowane, tak dalece od biega od charakteru nadawanego mu przez Kościół Katolicki, że niemal do zera sprowadza zarówno jego społeczny wymowę, jak i znaczenie, które posiada ono dla nas samych. Kultura katolicka naszych czasów, ograniczając jałmużnę do drobnego datku pieniężnego danego „z łaski” ubogiemu, a w najlepszym razie do niewielkiej ofiary na „Caritas”, spłyca ją, zważała ogromnie jej zakres oraz pozbawiła wewnętrzną treść, stanowiącej jej istotę i decydującej o jej chrześcijańskim charakterze.

Kościół zaleca trzy zasadnicze praktyki wielkopostne: modlitwę, post i jałmużnę. Ich właściwe rozumienie jest warunkiem przeżycia tego okresu w taki sposób i z takim skutkiem, jakiego Kościół dla nas pragnie. Jednakże rzeczywisty sens tych trzech wskazań, tak jak i praktyczny sens Wielkiego Postu w ogóle, są przez dzisiejszych katolików zapomniane. Problem jałmużny wyjaśniony być może tylko w związku z pozostałymi praktykami wielkopostnymi i ogólnym sensem tego okresu liturgicznego, ze względu na ich ścisłą współzależność.

Czym jest Wielki Post? Teoretycznie rzecz biorąc wiemy mniej więcej, o co chodzi. Ma być przygotowanie do największej uroczystości roku kościelnego — do Zmartwychwstania, które jest najgłębszym Misterium Chrześcijaństwa, podstawą jego prawdziwości, źródłem jego skuteczności i życiowej siły. Okres Wielkiego Postu ma być dla nas okresem wewnętrznego oczyszczenia, ma nam umożliwić prawdziwe przeżycie święta Zmartwychwstania, a tym samym pozwolić działać w nas łaskom z tego święta płynącym. Taką mamy pogląd na cel i znaczenie Wielkiego Postu i pogląd ten jest zasadniczo słuszny. Trudność zaczyna się wtedy, gdy trzeba określić sposób, wskazać konkretne środki, które pozwolą ten cel osiągnąć. Każdy okres roku kościelnego niesie właściwe sobie łaski i charakterystyczną liturgię, ale na to, aby wycisnąć on swe znamie w duszy człowieka, łaska musi spotkać się ze współdziałaniem, a liturgia z refleksją. Jakże ma być nasze współdziałanie z łaską i liturgią Wielkiego Postu? Dla większości z nas jest to przestrzeganie zakazu tańczenia, zachowanie ścisłego postu w Środę Popielcową i Wielki Piątek, jest to przede wszystkim spowiedź i Komunia św. Wielkanocna, poprzedzona rekolekcjami, z którymi wiąże się wiele dobrych postanowień, równie stanowczych i szczerych w momencie ich podejmowania, jak nieskutecznych na przyszłość. Rekolekcje, spowiedź i Komunia św. to bardzo wiele, szczególnie w wartościach bezwzględnych, ale zarazem bardzo mało w stosunku do tego, czego Kościół od wiernych w tym okresie wymaga.

Sakrament Pokuty i Komunia św. nie są dla katolików jakąś specyficzną wielkopostną praktyką, na rekolekcje zaś poświęcamy parę godzin, a nie dni czterdzieści. Ograniczenie przeżyć związanych z Wielkim Postem do tych elementów wydaje się być jakąś ubogą namiastką ducha, który jest dla Kościoła w tym okresie charakterystyczny. Kościół chce, aby te czterdzieści dni były dniami wzmoczonej pracy wewnętrznej, dniami szczegółowego wysiłku włożonego w poprawę życia. Dlatego konieczne jest poświęcenie pewnego okresu wewnętrznego koncentracji, specjalnemu wysiłkowi, który nas uzdolni do pełni chrześcijańskiego życia w ciągu pozostałych dni roku.

Taka właśnie jest rola Wielkiego Postu. Rekolekcje Wielkopostne, będące przede wszystkim pracą intelektu, jakąś jednorazową oderwaną decyzją, nie mogą zastąpić czterdziestodniowego wysiłku woli, który jest ich podbudową i gwarancją stałości powziętych podczas rekolekcji postanowień.

Wielkopostny wysiłek w realizacji chrześcijańskiego wzoru życiowego Kościoła w pewien sposób konkretyzuje zalecając trzy wyżej wspomniane „czyny pokutne” — modlitwę, post i jałmużnę. I tu znów popełnimy błąd, jeśli te trzy słowa rozumiemy będziemy w ich najwyższym, nadawanym im przez język potoczny znaczeniu. Kościół nadaje im znaczenie szersze. Właściwego sensu nabierają one dopiero wtedy, gdy traktujemy je jako wezwanie do rozwijania w sobie zasad, które skrótowo, symbolicznie prawie, reprezentują. Tak rozumiany sens tych trzech praktyk obejmuje sobą całe życie chrześcijańskie w jego zasadniczych elementach. Przypatrzmy się im po kolei. Zalecenie modlitwy, to nie tylko wezwanie do odmawiania jednej „Zdrowaśki” więcej w intencji własnej, czy swych bliskich. To przede wszystkim wskazanie na konieczność wyznaczenia modlitwie w naszym życiu takiej roli, jaka jej przysługuje, na konieczność przesylenia naszego życia nie tylko modlitwą ustną, ale również modlitwą myślną i modlitwą czynną, na konieczność właściwego ustawienia naszego osobistego kontaktu z Bogiem. Jeszcze więcej nieporozumień nasuwa druga praktyka — post. Rozumiemy go tylko jako ograniczenie posiłków w pewne określone dni. To nie wystarcza! Chodzi tu o ducha ascezy i umartwienia w ogóle, o ujęcie naszej natury w ramy wewnętrznej dyscypliny, która to jest w naszej osobowości niższe podporządkuje wyższemu i pozwoli zmobilizować ją całą do wysiłku we właściwym kierunku. Ducha ascezy nie przekreśla żadna dyspensacja i dlatego post rozumiany w ten szerszy sposób obowiązuje zawsze, chociaż od postu w ścisłym tego słowa znaczeniu jesteśmy czasowo zwolnieni.

Zagadnienie jałmużny przedstawia się analogicznie. I tę praktykę można rozumieć dwojako: w ścisłym i w szerszym znaczeniu. Również tutaj ograniczenie się do praktyki odpowiadającej znaczeniu węższemu jest niewystarczające. Zgodnie z nauką Kościoła jałmużna w znaczeniu węższym stanowi wszelką pomoc materialną udzieloną bliźniemu, natomiast jałmużna w znaczeniu szerszym obejmuje pomoc każdego rodzaju, zarówno tę, która ma na celu dobro ciała, jak i mającą na celu dobro duszy. Istotą jałmużny, jakkolwiek pojętej, jest miłość. Jej obecność u źródła każdego czynu decyduje o jego chrześcijańskim charakterze, jest tego charakteru bezwzględny warunkiem. Pomoc, czy to materialna, czy duchowa, pozbawiona ducha miłości, nie jest jałmużną w znaczeniu chrześcijańskim. Kościół wzywając nas do praktykowania jałmużny w Wielkim Poście ma na myśli nie tylko jej węższe, ale również jej szersze znaczenie. Jak modlitwa jest całością osobistego kontaktu człowieka z Bogiem, a post jest wszelką wewnętrzną ascezą, tak jałmużna oznacza ducha chrześcijańskiej międzyludzkiej miłości i czyni z tego ducha wypływające.

Dlatego św. Leon Wielki nazywa post czterdziestodniowy „czasem łagodności i cierpliwości, ładu i pokój”, a dla wyjaśnienia sensu wielkopostnej jałmużny używa znanego ustępu z ewangelii św. Mateusza zaczynającego się od słów: „Pójdźcie błogosławieni Ojca mego” (Mat. 25, 34), gdzie mowa jest zarówno o miłosierdziu czynionym wobec ciała, jak i wobec duszy ludzkiej. Podobne my-

śli znajdujemy u św. Augustyna: „Jeden rodzaj jałmużny jest, gdy bratu twemu winę odpuszczasz, i ta czyniona jest sercem; drugi zaś, czyniony z pomocą dóbr materialnych, gdy biednemu chleb podajesz” (Sermo LVIII, 10).

Znaczy to, że Wielki Post musi łączyć się dla nas z wysiłkiem, którego celem będzie ugruntowanie w nas właściwej postawy wobec drugiego człowieka. Zasadniczą treścią tej postawy ma być wyczerpanie na potrzeby innych ludzi, stałe zadawanie sobie pytania: „w czym — w zakresie swych możliwości — mogę mu pomóc” i objęcie tym pytaniem zarówno materialnych, jak i duchowych potrzeb.

Łączy się z tym jeszcze jedna sprawa — nasz stosunek do faktu udzielania komuś pomocy, atmosfera, w jakiej tę pomoc okazujemy. Z wyłączeniem wypadków dotyczących najbliższej rodziny, przywykliśmy wszelką materialną i niematerialną pomoc łączyć z uczuciem litości. Udzielenie pomocy, czy to będzie dar ofiarowany uboższemu, czy pomoc udzielona komuś w rozwiązaniu trudnej sytuacji życiowej, czy po prostu psychiczne wsparcie kogoś w okresie przeżywania przez niego głębokiej depresji, traktujemy niemal zawsze jako coś, co leży całkowicie w zakresie naszej dobrej woli, co możemy zrobić, albo czego możemy nie zrobić, co wreszcie robimy najczęściej dlatego, że dana osoba budzi w nas po prostu litość. Stąd płynie brak prostoty, jakaś wstydlivość i skrępowanie, z którym traktujemy wszystkie te sprawy, i zawstyżenie, jakie odczuwa osoba przyjmująca pomoc.

Nauka chrześcijańska stawia te rzeczy na innej płaszczyźnie. Tak zwane przez katechizm „uczynki miłosierne co do ciała i co do duszy”, będące prawdziwym kodeksem ludzkiego braterstwa opartego na Bożej miłości, są naszym prostym obowiązkiem, czego chyba najsiłniejszym wyrazem jest to, że są absolutnym i bezwzględny warunkiem naszego zbawienia. Św. Augustyn mówi, że jałmużna nie jest daniem, ale oddaniem, ponieważ wszystko, co mamy, jest własnością nie naszą, a Boga, pozwalającego nam dobra te użytkować. Dawni chrześcijanie, którzy kontakt z Ewangelią i tekstem liturgicznym był bliższy i żywszy, mieli na te sprawy daleko zdrowszy i słuszniejszy pogląd od naszego. Trudno jest w naszych czasach naśladować na przykład wspólnotę majątkową gminy jerozolimskiej i zapewne nie miałoby to dziś wielkiego sensu. Niemniej warto zastanowić się nad tym, że ich formy służby bliźniemu były tylko zewnętrznym, właściwym w tamtych okolicznościach przejawem ducha, który dziś obowiązuje tak samo jak wówczas i jak wówczas domaga się codziennej realizacji.

Na zakończenie warto tu poruszyć pewną sprawę z dziedziny egzegezy Pisma św. Ewangelia św. Łukasza w tekście Wulgaty mówi: „...dawajcie jałmużnę z tego, co zbywa” (Łuk. 11, 41). Zdaje się, że ten sposób rozumienia tekstu jest dość późny, a wcześniejsi Ojcowie Kościoła mówią nie „z tego, co zbywa” lecz „z tego, co macie” i tak właśnie brzmi, zdaje się, tekst grecki Ewangelii. Fakt, czy jedna, czy też druga wersja jest prawdziwa, nie pociąga za sobą zapewne żadnych skutków praktycznych, bo teologia moralna bynajmniej nie ogranicza jałmużny do „tego, co zbywa”, ale uzależnia to od rodzaju potrzeby i zna wypadki, w których istnieje bezwzględny obowiązek udzielenia pomocy kosztem naruszenia własnych środków utrzymania. Niemniej zagadnienie jest ciekawe. Mimo wszystko więcej ludzi czyta Ewangelię niż podręczniki teologii moralnej i dlatego może kwestia ta winna być dokładnie wyjaśniona.



Juan de Juanes — Ostatnia Wieczerza

## Niewiasta z Karioth

BYŁO to w wieczór Wielkiego Piątku — pierwszego Wielkiego Piątku. Już przywalono Grób kamieniem. Na jednym z rogów ulic Józef z Arymatei i Nikodem pożegnali się z Maryją i Janem — szybko, bez wielu słów, „z obawy przed Judejczykami”.

I teraz Maryja poszła wraz z Janem do domu Apostoła — do domu, który odtąd miał się stać Jej domem. Jan wyciągnął klucz, otworzył drzwi i z szacunkiem cofnąwszy się dwa kroki, prowadził oczyma wkraczającą w jego dom Maryję. Maryja Matka Pana i Mistrza wstępowała w jego dom. I on, Jan syn Zebedeusza, miał odtąd zająć miejsce Jej Syna. Tam z Krzyża padły te słowa: „Oto Matka twoja”. Z Krzyża też rozbrzmiało: „Niewiasto, oto syn Twój”. Lecz jakby to możliwe było miało — jakże on, Jan, może Jej zastąpić takiego Syna?

Zwolna wszedł i Apostoł i starannie zamknął drzwi — rano miał być wielki dzień Szabatu. We wszystkich domach spożywano właśnie śniadanie, jak kiedyś, stojąc, z łaskami w ręku, „gdy Izrael wychodził z Egiptu, dom Jakuba z ziemi pogan”. Wszędzie gospodarz domu czytał właśnie słowa Boga, wypowiedziane do Mojżesza i Aarona kiedyś w krainie egipskiej. Dziś brzmią one jak przed wiekami: „Mówcie do całego zgromadzenia synów Izraelowych i powiedzcie im: Dzień świętego dnia tego miesiąca niech weźmie każdy baranka według rodziny i domów swoich. A jeśli mniejsza jest liczba, niżby dosyć było do zjedzenia baranka, weźmie siasiada swego, który mieszka podłe domu jego, wedle liczby dusz, których by dosyć było do zjedzenia baranka. A baranek będzie bez smazy, samczyk, roczny; wedle tegoż przepisu możecie wziąć i koziołka. I będziecie go chować aż do czternastego dnia miesiąca tego i ofiaruje go wszystko zgromadzenie synów Izraelowych ku wieczorowi. I wezmą ze krwi jego, i położą na oba podwoje i na narożniki domów, w których go będą pożywać. I będą jeść mięso jego onej nocy, ogniem pieczone, i praśne chleby z pełną satatą. Nie będziecie jeść z niego nic surowego, ani warzonego w wodzie, ale tylko pieczone ogniem: głowę z nogami jego i z trzewiami zjecie. I nie zostanie z niego nic do poranku; jeśli co zostanie, ogniem spalicie. A tak go spożywać będziecie; biodra swe opaszecie, a obuwie będziecie mieć na nogach, trzymając kiję w rękach, a będziecie jeść śpiesznie, bo jest Paze (to jest przysięga) Pańskie”.

Zdawało się Janowi, że słyszy te słowa jakby je rzeczywistość czytano, że słyszy liturgiczny rytm stopniowo podnoszącego się głosu na ostatnich głoskach, że widzi gospodarza domu zwijającego Torę, by ją podać najstarszemu z synów. Dziś po raz pierwszy w życiu on nie będzie spożywał baranka, ani jadł „Chleba bólu”, niekwasszonego, pieczonego w popiele, ani pił nie będzie z próżnego kielicha, co ustanowiony był na pamiątkę cierpień dzieci izraelskich w Mizraim... Bo wczoraj wieczorem pożywał Baranka Nowego Testamentu, którego nie mogą pożywać ci, którzy służą jeszcze Arce Starego Zakonu; on pił z Kielicha Nowego Przymierza, który jest zjeitnoczeniem we Krwi Chrystusowej... Krwi Chrystusowej... tej Krwi, której krople spadały na jego szaty, gdy pod Krzyżem stał.

I stał Apostoł w zadumie wpatrując się w krople Krwi na płaszczy, który trzymał wciąż w swoim ręku. — Krople z przebitych dłońi Mistrza tu spadły... Szelest w ciemnej głębi izby przypominał mu obecność Marii i posłyszal Jej głos wyrwany z głębi przez wzruszenie: „Patr — Jego Tephilim — tu położył je, gdy wychodził na Wieczerzę ostatnią”.

Jan zwrócił się ku Niej, by dać odpowiedź, ady wtem zapukano do drzwi. Apostoł zdrygnął się — czyżby to studzy najwyższych kapłanów przyszli z mieczami i pochodniami, by „abrać matkę „buntownika” i Jego najbliższego ucznia? Zapukano powtórnie... i trzeba było otworzyć. Na zewnątrz stała niewiasta, sama tylko i tak zatulona, że mógł zobaczyć tylko jej oczy.

— Czy mogę wejść? — pyta natarczywie, tak by uniemożliwić odmowę — Przyjmijcie mnie i pozwólcie mi z wami jeść baranka. Nie mam nikogo, z kim bym mogła baranka pożywać.

Apostoł ustąpił nieco, by mogła wejść do wnętrza, i prędko zamknął drzwi za nią.

— Bądź pozdrowiona — przywitał ją. — Ale dlaczego tu przybyłaś? Nigdy dotąd do nas nie przychodziłaś.

— Dotąd — rzekła niewiasta, a głos jej brzmiał jakby we śnie — dotąd — dotąd nie byłam sama. Miałam syna i razem spożywałyśmy baranka. Wstarczał mały baranek — mój syn miał dobry apetyt — zjadaliśmy go sami we dwoje.

Jan omal nie roześmiał się, lecz zapanował nad sobą, bo z oczu niewiasty potoczyły się łzy.

— I cóż z synem się stało, gdzie on teraz? Czy nie żyje? Czy poległ w ostatnim powstaniu przeciwko Rzymianom?

— Nie — odrzekła niewiasta — nie — wyrwało się jej z piersi. — Ach, gdybyż to tak było!... Mój syn zginął z własnej ręki, a sznur, na którym się powiesił, zerwał się — i spadł na ziemię i jego wnętrzności rozlały się. A najwziści kapłani zabrali trzydzieści srebrników i powiedzieli: „Nie godzi się nam złożyć ich w skarbcu świątyni, bo są zapiata krwi”. I uradziwszy kupili za nie rolę garncarza na pogrzeb pielgrzymów i nazwali ją Halcedama, to jest rola krwi. Spełniło się proroctwo Jeremiasza, który mówi: „I wzięli trzydzieści srebrników, zapiata oszacowanego, i dali je za rolę garncarza, jako przepowiedział Pan”.

Milczenie zamknęło usta niewiście i Apostołowi. Wtem z ciemnej głębi izby przybliżyła się Maryja.

— Skąd przybyłaś, niewiasto? — zapytała cicho.

I dała się słyszeć odpowiedź trwożna, lecz wypowiedziana tak, jak mówi ktoś, kto prawdę musi powiedzieć:

— Z Karioth, Pani.

Wtedy Maryja zwróciła się do swego nowego syna:

— Włóż z powrotem płaszcz twój — musimy pójść.

— Dokąd? Teraz, tak późno, gdy już wszystkie progi pokropione krwią baranka?...

— Janie, my musimy pójść z tą niewiastą — musimy pójść na cmentarz Halcedama z nią, by jej pomóc pogrzebać jej syna.

(J. Joergensen — Das Weib von Karioth — przełożył P. N.)



Kalikst MORAWSKI

# NIEZNANY UCZEŃ

(Powieść z czasów Chrystusa)

**NIEZNANY uczeń** — oto tytuł tej „kawej a mało znanej książki włoskiego autora Francesco Perri. Po wieść ta przenosi nas w odległe, ale zawsze bardzo interesujące czasy, gdy świat starożytny staczał się coraz niżej na dno upadku, a jednocześnie w Palestynie rozpoczynał się żywotność Chrystusa. Nic więc dziwnego, że okres ten znajdował zawsze odbicie w literaturze, czego dowodem są liczne publikacje na ten temat zarówno w literaturze pięknej, jak i w naukowej. Powodzenie „Quo vadis” jest dowodem, że to pozornie odległe zagadnienie, jakim jest Rzym starożytny, znajdują jednak oddźwięk u współczesnego czytelnika. Nic więc dziwnego, że Francesco Perri w trudnym momencie dziejowym, jakim była kończąca faza wojny w 1944 roku, sięgnął do tej właśnie tematyki.

Kim jest autor powieści „Nieznany uczeń” (*Il discepolo ignoto*)? Francesco Perri pochodzi z południowych Włoch. Urodził się w 1885 roku w Caerli w Kalabrii. Podręcznik literatury albo nie mówią o nim wcale, albo poświęcają mu tylko niewielkie wzmianki, jak np. Luigi Russo w „I narratori” (Milano — Messina 1951). W 1938 roku w czasopiśmie „Perseo” pisał o nim Colombo (numer z 1 października).

Po wojnie, w 1947 roku, tygodnik *Témoignage chrétien* opublikował część powieści *Emigrants (Emigranti)*. W związku z tym M. Vaussard w artykule umieszczonym w tymże tygodniku (31.X 1947) poświęcił kilka słów autorowi powieści. Jednocześnie profesor literatury włoskiej na Sorbonie, Henri Bédarida przetłumaczył na francuski *Il discepolo ignoto*, dając tym pozbawionej publiczności, nie tylko francuskiej, twórczość powieściopisarza włoskiego, niestety niedocenianego przez krytykę.

Perri rozpoczął swą karierę literacką po pierwszej wojnie światowej powieścią: *I conquistatori*. Powieść ta, wydana w 1925 roku, przedstawia nam kryzys moralny i polityczny Włoch powojennych, nie umiających znaleźć rozwiązania palących problemów i staczających się w odmętach wojny domowej i faszyzmu. Perri był wówczas urzędnikiem w północnych Włoszech i miał możliwość bezpośredniej obserwacji opisywanych zjawisk. Usunięty ze swego stanowiska w administracji państwowej z powodów politycznych, Perri pisze dalej i w 1928 roku ujrzała światło

dzienne następna powieść, *Emigranti*, pokazująca nam psychikę mieszkańców południowych Włoch. *Emigranti* — powieść o wysokich walorach artystycznych i moralnych — spotkała się początkowo z życzliwym przyjęciem opinii i prasy. Ta ostatnia zmieniła stanowisko, gdy przypomniano sobie, że autor był antyfaszystą. Odtąd przez 16 lat Francesco Perri milczy. W 1944 roku ukazano się *Il discepolo ignoto* przypomniawszy o istnieniu we Włoszech literackiego talentu autora, który przymusowe milczenie wyzyskał dla pogłębienia twórczości zarówno pod względem treści, jak i formy, wykazując świetnie opanowanie techniki powieściowej.

Twórczość Francesco Perri wykazuje szerokie horyzonty myślowe, od czucia cierpienia ludzkiego, wrażliwość na piękno i dobro, głębokie zrozumienie trudności, z jakimi walczy natura ludzka na drodze do realizacji ideału dobra i piękna. Perri zbliża się do światopoglądu katolickiego, umysł jego wolny jest od ciasnego fanatyzmu. *Emigranti* przypominają książki wielkich powieściopisarzy, od twórców życia prowincji włoskiej, jak Verga, Grazia Deledda, Renato Fucini, którzy stawiają nam przed oczami Sycylię, Sardynię i Toskanię. Zrozumienie i pełne ekspresji odtworzenie kryzysu współczesnego świata zbliża go znowu zarówno do Romain Rollanda, jak i Borgese (autora *Rubé*). Dzięki wyczuciu piękna i wielkości Chrystusa, Perri staje obok słynnych pisarzy, którzy zajmowali się problematyką Zbawiciela w literaturze pięknej. Język powieści stawia Francesco Perri obok największych mistrzów stylu i języka włoskiego. Umiędlone odtworzenie wielkiej przemości jest niepoślednią cechą talentu naszego autora. Gdy mówimy o tym aspekcie jego twórczości, przychodzi nam do głowy nazwiska takie, jak Bulwer (*Ostatnie dni Pompei*), Wiseman (*Fabioła*), Sienkiewicz (*Quo vadis*), Kraszewski (*Roma i Caprea*).

Z tej pobieżnej charakterystyki twórczości i osoby Francesco Perri wynika, że jest to autor o dużej skali możliwości, autor inteligentny i pełen niespodzianek. Powieść *Il discepolo ignoto* potwierdza całkowicie powyższe wnioski. Przyjrzyjmy się zatem bliżej tej książce stanowiącej nową kartę w twórczości autora. Zalety tej powieści są różnorodne. Należą do nich: oryginalna fabuła, umiejętne odtworzenie trudnych na ogół do uchwycenia i utrwalenia środowisk, wnikliwa analiza charakterów, umiejętność tworzenia sytuacji niebanalnych o silnym napięciu dramatycznym i barwność obrazów. Wszystko to razem ujęte w ramy opowiadania sugestywnego, interesującego i zwierzęcego.

Już sam wybór bohatera świadczy o oryginalności autora. Jest to postać wymyślona, nie mniej jednak całkowicie mieszcząca się w granicach prawdopodobieństwa. Asumpt do stworzenia postaci bohatera słownego — to słowa Ewangelii św. Marka (rozd. XIV, 51 — 52). Opowiadając o pojmowaniu Chrystusa przez wysłanników kapłanów i faryzeuszów, ewangelista pisze, co następuje: „I wszyscy pozostawiający Go uciekli, jeden młodzieniec szedł za Nim odziany w płótno na gołym ciele, żołnierz pojmali go, ale on, porzucając odzienie uciekł nago”. Kim był ten tajemniczy młodzieniec? Ewangelia nie wyjaśnia nam tego. Perri tworzy więc na tej kanwie tragiczną historię owego młodzieńca. Jest to syn gubernatora Rzymskiego Palestyny i młodej Żydówki Mikol, którą rodzina oddała Rzymianinowi, by zapewnić sobie wpływy polityczne. Rodzina Mikol dąży bowiem do uzyskania godności kapłańskiej.

Z tego związku sceptycznego i żądnego użycia Rzymianina oraz młodej, namiętnej i fanatycznej Żydówki urodziło się dziecko. Będzie nim Marek Adonia, ów młodzieniec, którego autor utożsamia z młodzieńcem z Ewangelii. Mikol ucieka przed gniewem kochanki nie mogącego darować jej, że chciała dziecko wychować na sposób żydowski. Marek po śmierci ojca dostaje się do Rzymu. Wychojuje go krewny, którego żona, młoda patrycjuszka Varilia, zainteresowana jest młodym chłopcem. Varilia nie znalazła szczęścia u boku męża rozpustnika i karierowicza. Szuka więc

ukojenia w filozofii, w mistycyzmie, a jednocześnie jej niezaspokojone macierzyńskie uczucia każą jej opiekować się młodym chłopcem, o kilka lat od niej młodszym. Z biegiem lat Marek staje się młodzieńcem i wówczas miłość Varilii przybiera inny charakter. Oboje pogrążeni są w mistycznym oczekiwaniu nadejścia nowej ery, ery Dionizosa, patrona radości i szczęścia. Obrzędy ku czci Dionizosa zostały odkryte przez męża Varilii. Marek ucieka, ukrywa się, po czym dzięki protekcji przyjaciół Varilii proces, grozący obojgu śmiercią, zostaje zatuszowany. Zamiast za obrazę boskości Cezara, oboje są sądzeni tylko za nieprzestrzeżenie przez pisów o kultach religijnych. Varilia zostaje skazana na wygnanie do Kalabrii, Marek zaś do Palestyny, gdzie ma służyć w wojsku pod rozkazami wielkorządcy Pilata. Oboje tęsknią do siebie, organizują ucieczkę Varilii. Ta ostatnia po wyładowaniu w Palestynie została pojmana przez Żelotów zbuntowanych przeciwko Rzymowi. W bandzie Żelotów jest matka Marka. Oboje już przedtem mieli spotkanie, które do niczego nie doprowadziło. Marek kochał matkę, a nie chciał zdradzić Rzymu. Mikol nie mogła znów przeboleć faktu, że syn jej zdradził Jehowę. Namiętności religijne, rasowe i narodowościowe koją przepaść między matką a synem. Varilia z rozkazu Mikol została podana hańbiącemu traktowaniu i na pół żywa na nieokreślonym koniu wypuszczona w świat. Umierającą Varilię znalazł uczniowie Chrystusa i u boku Chrystusa Varilia spędza ostatnie chwile życia. Marek odnalazł ją w momencie śmierci. Rozpacz jego po stracie ukochanej nie ma granic. Na czele oddziału wojska zaatakował i wytepił bandę Żelotów. Pomimo rozkazu Marka nakazującemu żołnierzom oszczędzić Mikol, w ciemnościach i w wirze walki Mikol padł pod ciosami podkomendnych własnego syna. Marek stracił matkę, stracił Varilię.

Od tej chwili zbliża się do Chrystusa, z którym już poprzednio się zetknął. Postać Chrystusa wywierała dziwny wpływ na młodego patrycjusza rzymskiego. Początkowo widział on w Nim oczekiwane od dawną Dionizosa, później dopiero zrozumiał istotę nauki Chrystusa. Po śmierci Varilii towarzyszy stale Chrystusowi do momentu Jego śmierci i Zmartwychwstania. Ginie jako jedna z pierwszych ofiar fanatyzmu i nienawiści, tuż po Zmartwychwstaniu.

Już pobieżny przegląd treści wykazuje oryginalność koncepcji nie lekającej się nie byle jakich trudności. Największą z nich było niewątpliwie włączenie Chrystusa w akcję powieści. Autor z całym szacunkiem i z wiernym zachowaniem faktów pokazuje nam różne momenty działalności Zbawiciela. Są one jednak tak wybrane, by wrażenie, jakiego dozna Marek, było specjalnie silne. Obrzęd chrztu, cudowne nakarmienie tłumów, Chrystus uciśnięty burzą — oto momenty ujawniające tajemniczość, miłosierdzie i potęgę Tego, którego Marek nazywa Rabbi. Raz znalazłszy się w orbicie wpływów Zbawiciela, Marek nie uwolnił się od nich już nigdy. Autor tłumaczy psychologicznie, dlaczego wpływ Chrystusa był tak wielki i dlaczego urok tej postaci musiał działać z nieprzepartą siłą na młodego, ale posiadającego za sobą ciężkie przeżycia patrycjusza rzymskiego. Chrystus dawał Rzymowi to, czego nieznajomość i uczciwa część ludności pragnęła od dawna: dawał spokój, dobroć i wiarę. Perri pokazuje trudności, które musiał pokonać Marek, aby stać się wyznawcą nowej religii. Nawrócenie Marka jest trudne, odbywa się powoli, niełatwo nauka Chrystusa trafia do przekonania młodzieńcowi wychowanemu w dziwnej atmosferze epikureizmu i mistycyzmu dionizjańskiego spotęgowa nego reminiscencjami wschodnimi.

Do najbardziej udanych epizodów książki należy wyjątkowo długi (str. 98 — 126) opis obrzędów dionizjańskich, otoczonych urokiem niesamowitej grozy, tajemniczości, oraz mrokiem nocy. Ten mistycyzm dążący do nowych form bytu w zestawieniu z działalnością Chrystusa i ponurym obrazem okrutnych przesądów Tyberiusza oraz sceptycyzm starszego nauczyciela Marka — niewolnika Megakla — rzucają charakterystyczne światło na stan ówczesnej mentalności rzymskiej i na atmosferę tęsknoty religijnej do czegoś nowego, lepszego niż stare wierzenia.

Głęboki humanitaryzm, współczucie dla biednych i upośledzonych potęgają urok postaci głównych bohaterów. Varilia, Marek

i Chrystus wybijają się w książce na pierwszy plan, z tym, że w odtworzeniu postaci Zbawiciela autor skrupułowo był prawdą historyczną, mógł pokazać swe upodobania tylko w doborze szczegółów.

Do postaci drugoplanowych należy zarówno Pilat, jak i bankier Saramalla oraz Judasz z Kariotu. Aczkolwiek potraktowane są one epizodycznie, niemniej jednak autor poświęcił dużo uwagi starannemu nakreśleniu ich sylwetek. Saramalla i jego córka Glafira łączą w swych osobach chytrość, przewrotność, chciwość i swoisty mesjanizm, z tą różnicą, że w postaci Glafiry przeważa fanatyzm i namiętność kobieca, podczas gdy jej ojciec, bardziej sceptyczny, jest postacią graczą, zdradzającą zarówno Rzymian, jak i ich przeciwników. Judasz jest typowym fanatykiem, ożywionym mesjanizmem, a jednocześnie człowiekiem ambiwalentnym, ulegającym nastrojom chwili, pragnącym wzbudzić podziw dla wszystkiego, co robi. Nie może on zrozumieć nauki Chrystusa, doznaje zawodu widząc, że Chrystus chce zbawić wszystkich ludzi, a nie tylko przygotowane panowanie Izraela na ziemi. Tragedia i upadek Judasza przedstawione są specjalnie przekonująco. Antytypem Judasza jest Pilat — uosobienie trzeźwości i brutalności rzymskiej. Pilat pogardza Żydami za ich fanatyzm, za ich niesforność, no i również — za ich marzycielstwo. Pilat jest również bezwzględny w stosunku do Marka, którego wzlotów i tragedii w ogóle nie rozumie. Ma on jednak wrodzone poczucie sprawiedliwości, dlatego waży się długo, zanim wyda wyrok śmierci na Chrystusa, robi to niechętnie, pod presją okoliczności.

Autor wprowadza do akcji postaci o biegunowo nieraz różnych charakterach. Przyczynią się do niewątpliwie do podniesienia dynamizmu opowiadania, powodując i uzasadniając tragiczne spłyty okoliczności, jak np. walkę matki z synem, rzuconych do dwóch walczących się obozów. Dynamizm i napięcie dramatyczne potęgają jeszcze fakt, że bohaterowie książki związani są ze sprzecznymi środowiskami. Rzym, Tyberiusz i Palestyna pierwszych lat naszej ery — oto przykład silnych kontrastów religijnych, kulturalnych, społecznych i gospodarczych. Autor z głębokim zjawstwem odtwarza oba te środowiska, dając ich pełny, aczkolwiek, na ogół, wzięty obraz. Do wzmiankowanych już poprzednio scen należałoby dorzucić opis Palestyny widzianej oczami Marka lub Varilii tuż po ich wyładowaniu w Jaffie.

Perri umiał ująć powieść w odpowiednią formę zewnętrzną. Język, którym się posługuje, jest prosty, sio wa niewyszukane, ale dobrze oddające myśl autora, opisy barwne, wy-czerpujące, ale wzięte, unika też niepotrzebnych rozwlekleści. Tok opowiadania wartki, budowa logiczna powieści — też zasługuje na podkreślenie.

*Il discepolo ignoto* i cała twórczość Francesco Perri stanowi więc dodatni wkład we współczesną literaturę włoską. Kalikst Morawski

Jolanta TRYBOWSKA

## WIERSZE

### 1. TRWOGA

Siedzę w lesie wśród lasów na innych zboczach

I wśród grzechotu świerszczyny

W szumie świerków słyszę szum morza.

Wyznawać Cię będę na lutni Boże, Boże mój

Czemu smutna jesteś duszo moja

Czemu mnie trwożysz

Tej nadzieję w Panu.

### 2. RÓWNANIE

Obra bułka ma barwę dojrzałego żyta

I dotąd tylko jest dobra, dokąd nie przekroczy złościwości  
pszenicy

Ogień daje kolor bułce

Słońce daje kolor zbożu

Duch Święty jest przedstawiony jako płomień.

### 3. WYZNAWAĆ CIĘ BĘDĘ NA LUTNI

Schodząc ze zbocza spojrzalam w słońce

Znad poziomek w słońce poziomek

Znad rumianków w słońce rumianków

Znad dziurawca w słońce dziurawca

Ze zbocza schodząc spojrzalam w słońce nad innymi zboczami

Wyznawać Cię będę na lutni Boże, Boże mój.

## POEMA

Chcę mieć synka Bogumiłka

Z niebieskimi

Chcę mieć synka Bogumiłka

Oczkami

Chcę mieć synka Bogumiłka

jasnymi

Chcę mieć synka Bogumiłka

łoskami.

Chybym miała synka Bogumiłka takiego

ziewkowałabym Ci Boże za niego

Chyba kolanach bym poszła pod lipy

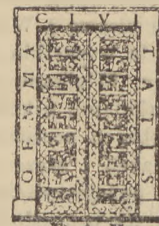
Chyba w kapliczce wisisz przybity

Chyba jak domek ptasi wśród kwiatów

Chyba podobnych lipy

Chyba by miał z szumiącego wśród zboża bławatu

Chyba Bożyczku w kapliczce przybity.



PISMA KATECHETYCZNE  
SW. AUGUSTYNA

Cena zł 26.—

SW. HIERONIM — L i s t y

Przekład Ks. Prof. Jana Czujka

Cena zł 34.—

Antoni Gołubiew

BOLESŁAW CHROBRY

4 tomy

Cena zł 112.—

ARKUSZE POETYCKIE

10 Autorów

Cena zł 12.—

Georges Bernanos

ZAKLAMANIE

Cena zł 20.—

Wysłać Biuro sprzedaży „PAX”, Mokotowska 43, Warszawa, za zaliczeniem lub po wpłacie na konto PKO nr I-8515 z dodaniem zł 3.— na koszt przesyłki.



Leszek PROROK

NA 700-Lecie LOKACJI POZNANIA

# Gdy miastu wytyczano nowe granice...

## I. PRZYWILEJ PRZEMYSŁA

„Działo się to w Poznaniu, roku od Wcielenia Pańskiego 1253, w obecności tych świadków: Przedpełka, wojewody poznańskiego, Dzierżkryja, wojewody gnieźnieńskiego, Domurata, sędziego nadwornego, Boguchwała, kasztelana poznańskiego, Eustachego, syna Jana, Pekośława, syna Cedryka i wielu innych”. Skłóceniu do niedawna bracia-księżęta, Przemysł I i Bolesław Poboczny „właśniej woli postanowieniem”, oraz po zasięgnięciu rady swych baronów, arcybiskupa poznańskiego i całej kapituły, powierzyli „uczciwemu mężowi Tomaszowi i jego potomstwu” dzieło lokacji Poznania na tzw. prawie niemieckim (magdeburskim).

Akt lokacyjny znany nam w transumpcie z 1298 r. 1) określił szczegółowo przywileje ludności i nowy ustroj miasta. Szerog ulg i nadai otwierala „wolnizna”, czyli zniesienie w okresie organizacyjnym cel, opłat mienicznych oraz myta za przejście Warty. Książę odstąpił mieszczanom wieczyste posiadanie rzeki na odcinku mił w góre i w dół biegu od miasta wraz z wszystkimi połykami, a więc prawem połowy ryb i stawiania młynów. Jeden z nich zastrzegł jednak dla swego wyłącznego użytku.

W r. 1253 Poznań, organizowany na nowych zasadach przez „uczciwego meza Tomasza”, Łużyczanina z Gubina, otrzymał 17 wsi służebnych dla zapewnienia dochodów wójtowi, łąki, pastwiska, sprzącz itp. Większość z nich — to dzisiejsze tętniące życiem dzielnice, zabudowane w całości. Odnajdujemy w spisie przywileju Rataje, Żegrze, Starceke (Stara lanka), Minikowo, Wierzbicice (Vyr byce), Języcze, Winiary.

Akt lokacyjny określił zakres działania sądu miejskiego, opłat sądowych, i ciężary na rzecz księcia. Np. od nowozabudowanych posesji miały wynosić odgą po pół skojca, tj. bezmała 4 gramy srebra. Ustalono również doroczny jarmark, wolność targową, straż miejską itd.

Dar braci z 1253 r., wynik długich zabiegów Przemysła, doniosły dla dalszego rozwoju Poznania, zamknął kilkukilowy etap kształtowania się miasta nad Wartą. Mieszkowa stolica liczyła już co najmniej trzy wieki rozwoju, wiele wymownego dla genezy i charakteru miast polskich. Zarówno obecne 700-letnie, jak zeszlorzeczne odkrycia budowli pierwszych Piastów w Katedrze Poznańskiej 2) zwracają szczególną uwagę na przedlokacyjny okres miasta. Prowadzona na obszarze całego kraju obrzydza akcja badań nad początkami Państwa Polskiego dorzuca raz po raz cenne odkrycia, które rozbjaśniają również mało znany odcinek wczesnych dziejów grodu Przemysła.

## II. WCZESNOPIASTOWSKIE POCZĄTKI

MIEJSKIE początki Poznania leżą na Ostrowiu Tumskim. U brodu przez Wartę istnieć musiała od niepamiętnych czasów osada, najpewniej rybacka. Ujście rzeczki Cybiny i kilku lewobrzeżnych strumieni (Bogdanka, Wierzbak) do Warty znajduje się w dolinie, oboznej pasem łagodnych wzniesień. Przebiega tędy kilka ważnych szlaków komunikacyjnych, którym poza innymi względami prądowa osada zawięzca również swój niebawywały awans historyczny w połowie X w. Oto gród na wysepce w ramionach Cybiny i jednej z odnóg Warty został podniesiony przez Mieszka I do godności stolicy Polan.

Ślady wykopaliskowe świadczą o istnieniu pewnego systemu fortyfikacyjnego na wyspie jeszcze przed Mieszkiem. Odkryty przez prehistoryka, prof. W. Hensla, wał z bierwion drewnianych, przesypanych piaskiem, który biegnie pod dzisiejszą katedrą, pochodzi z czasów ojca mieszkowego, legendarnego Ziomysłaa.

Gród Mieszka zajął zachodnią część wyspy, miejsce, gdzie stoi dziś kościół P. Marii i Psalteria. Czuwał nad bezpieczeństwem przeprawy przez rzekę, zapewniał schronienie mieszkańcom sąsiadujących osiedli. W kierunku wschodnim rozwinęło się podgrodzie, włączone również w system wałów obronnych. Na jego terenie, u brzegów Cybiny, stanęła pierwsza przedromaska katedra murowana. Naukowcy poznańscy badają obecnie jej ślady pod prezbiterium dzisiejszej świątyni.

Awans historyczny wpłynął na rozwój podgrodzia. Łącznie z grodem dało początek osadzie miejskiej, pośrednikowi w handlu, ośrodkowi wytwórczej rzemieślniczej. Podchnie z podgrodzi wywodzą się inne najstarsze miasta Polski. Pogląd ten potwierdzają wykopaliska w Gnieźnie, Kłocku, Kruszycy, Santoku, na wyspie

Wolyn, w Opolu ślaskim i in. Ostatni teren szczególnie wyraziście rysuje obraz miasta we wczesnym okresie jego istnienia. Siedem ulic Opola, po wiazanych przeczniami, świadczy o znajomości regularnego planu zabudowy u naszych przaprzodków 3). Ulice te wyłożone były drzewem, podobnie zresztą jak wnętrza kwadratowych domów. Na terenie osady zebrało znaczne ilości przedmiotów codziennego użytku (stołki, wiadra, talerze, łyżki), wytworów rzemiosła i narzędzi 4).

Wokół poznańskiego Ostrowu z latami rozrastały się dalsze osiedla. Tuż za Cybiną — Śródką, Śródą, Śwrodą oznaczała osadę handlową o okrągłym placu targowym. Nazwę tę utrwaliły dwa miasta: Środa Wielka polska i Środa Śląska. Do prawobrzeżnych osiedli należało również otoczenie kościoła św. Jana Jerolimskiego, po katedrze drugiej co do wieku świątyni poznańskiej. Po kawalerach maltańskich, którzy osiedli tu po 1170 r. i utrzymywali szpital św. Michała, jeden z najwcześniejszych w Polsce, pozostała nazwa dzielnicy — Krzyżownik.

Na lewym brzegu rzeki wykształciło się również kilka osad, które wraz z centralnym ośrodkiem księstwowym na Ostrowie tworzyły zespół miejski. Tu również budowle skupiały się wokół kościołów. W dolinie nad Wartą rozpostarła się osada św. Gotarda, dokąd w 1244 r. przenieśli się Do minikanie ze Środki. Dziś zbiegają się tam ulice Dominikańska i Szewska. Na wzgórzach, zamykających kotlinę rozstąpiła się osada kapitulna z kościołem św. Marcina i osada księżca przy św. Wojciechu. Ogółem liczyba świątyni przed lokacją sięgnęła osmiu. Poznań romański przekształcał się w tym czasie w miasto wczesnogotyckie. Stad rok 1253, początkujący przeobrażenia polokacyjne, skłania, by uznać go za datę przelomową również pod względem rozwoju architektonicznego.

## III. EWOLUCJA CZY KOLONIZACJA?

DECENTRALISTYCZNY rozrost Poznania, tak różny od typu miejskiego Europy zachodniej, odpowiadał tendencji rozwoju miast słowiańskich. Te ostatnie wykształciły się jako osiedla wyłącznie handlowe, rozległe, niezim obrzydnie wsie, różniące się od nich wyraznie odmienną funkcją gospodarczą. Zasadkiem tego typu miast stały się oprócz podgrodzi również targi lub wsie targowe, których na obszarach Polskiej Piastowskiej odkryto kilkadziesiąt.

W miastach naszych brakło zrązu wyraźnego zróżnicowania na kupców

i rzemieślników, brakowało też wykształconego samorządu municypalnego. Jedno i drugie posiadały miasta zachodnio-europejskie, które powstały w X wieku w północnych Włoszech i we Flandrii na zgrzebach odrzuczonej tradycji miast rzymskich. Były to osiedla o zabudowie zwartej, o ulicach ciasnych, często niezbyt regularnych, powikłanych. Ich urzędzenia prawne i instytucje rozlały się po Europie szeroką falą w dobie kolonizacji wraz z napływem osiedleńców z przeludnionej Flandrii i Holandii,

Śląsk. Obok wzoru magdeburskiego zapożyczano chętnie organizację prawną ze Środy Śląskiej, wyłoniło się tzw. prawo chełmińskie itd. Względnie szybko autorytetem rozstrzygającym ustrojowe sprawy sporne stał się sąd miejski w Krakowie.

Nad Łabą zachodni typ miast zaszczepliła kolonizacja flamandzka i holenderska w XII w., w Polsce przy padło to na wiek XIII. W roku bieżącym rocznicę lokacji wraz z Poznaniem obchodzą Ślubice, Głogów, Śram i Bochnia. Zgarzało się również, ze

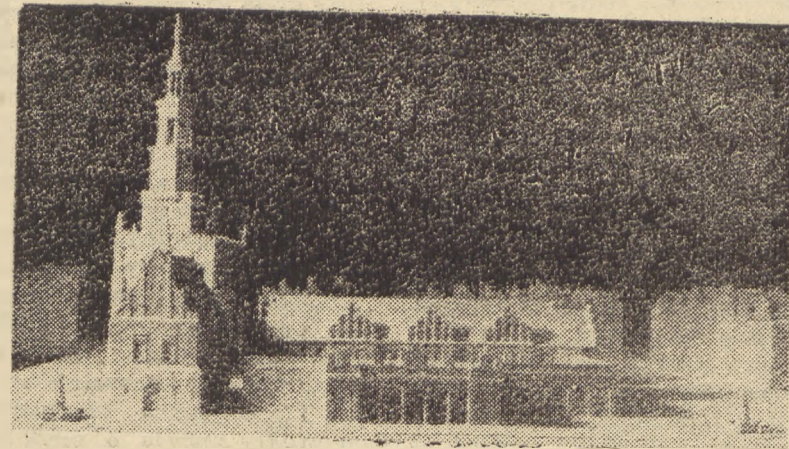
kolonizacja dała początek miastom polskim. Pogląd ten dostrzegal w mieście jedynie twór prawny, zamykał oczy na fakt funkcjonowania w określony sposób organizmu gospodarczego na długo przedtem. Teoria kolonizacyjnej genezy miast przekia dała formę ponad żywą treść. Przewidstwana jej teoria ewolucyjna widzi w mieście produkt długiego rozwoju społeczno-gospodarczego, przechodzący rozmaite stadia. Siusność tego ostatniego stanowiska potwierdzają raz po raz wyniki badań wyko paliskowych. Ale przecież w odległej nawet przeszłości nie brakło świadectw bujnego rozwoju i swoistej za budowy naszych miast. Geograf arabski XII wieku Al. Idrisi pisze o Krakowie, Gnieźnie, Środzcu i Wrocławiu, że „są sławnymi stolicami i silnymi ośrodkami, w których zebra no dostatki z rozmaitych krajów... Kze mieszniacy ich są zreczni i obznajomieni ze swymi zawodami”. O Krakowie i Gnieźnie pisze ponadto, że „są to miejscowości o blisko siebie stojących budowach; zbliżają się do siebie swą wielkością, a opisy ich i wygląd są podobne. Zbliżają się one do siebie także, jeśli chodzi o liczbę ich wyrobów”.

## IV. Z PRAWEGO NA LEWY BRZEG RZĘKI

W XIII-wiecznym rozrzuconym Poznaniu sytuacja dojrzała do zwięzania szeregu osiedli w całość bardziej spójną. Ograniczony rzeką teren Ostrowu tamował dalszy rozwój miasta. Podobnie przedstawiała się sytuacja nad Cybiną. Pierwsza lokacja poznańska, nadana w 1253 Środce, zawiodła. Sprowadzeni wtedy Dominikanie nie mogli wystawić dla siebie kościoła z powodu ciasnoty. Dążenie do intensyfikacji miejskich sił wytwórczych, ożywienia handlu, rozwoju przemioła, wymagało wyposazania miasta w organizację sprężystą, zestrojoną z potrzebami osiedla, czego nie mógł za pewnić aparat księstwy, wymagało też wyposazania ludności w swobody i prawa, jakie posiadały miasta zachodnie.

Najdogodniejszym terenem dla realizacji tych zamysłów był lewy brzeg rzeki, obszar między św. św. Marcina, Gotardem, a Wojciechem. Na przeszkodzie stawało rozproszenie własności terenu. Część znajdowała się w rękę Kościoła. Najwięcej wszakże kłopotu przyczyniał niedawny podział Wielkopolski wzdłuż linii Warty między dwu synów Władysława Odonieca, Przemysła i Bolesława. Przemysł wadał Ostrowiem, Bolesław lewym brzegiem rzeki. W toku zabiegów o jednosc Poznania

(Dokończenie na str. 6)



Makieta rekonstrukcji Starego Rynku w Poznaniu (proj. Zb. Zielińskiego): Widok na wagę miejską z lewej strony, odwach z prawej. W drugim rzędzie ratusz i arsenał. Fot. St. Laskowski — Poznań

stopniowo zakorzenili się w Niemczech wschodnich, z czasem przeszły do Polski, Czech itp. Do nas przenieśli je w znacznej mierze kolonizacji z obszarów niemieckich, nie przeto dziwnego, że ludność miejscowa nazwała inowacje ustrojowe prawem niemieckim. W rzeczywistości typ organizacyjny miast lokacyjnych opierał się na ogólnozachodnim prawie miejskim, tkwiącym korzeniami jeszcze w regulacjach antycznego Rzymu 5).

Dla społeczności niemieckiej hwił w swym czasie nowością nie mniej szał niż dla polskiej. W statutach miejskich, które dotarły do nas w czasach kolonizacji, a zwłaszcza we wzorcowym prawie tzw. magdeburskim, nie brakło pewnych elementów ściśle niemieckich. Najsilniej przejawiały się na gruncie prawa sądowego 6). Dochodziły jednak do głosu rodzime czynniki prawotwórcze. W stosunkach wiejskich lokacje na prawie niemieckim nie zahamowały rozwoju kolonizacji na prawie polskim. W miastach w ogólnych ramach ustrojowych, przeniesionych z zachodu, krzewiły się dalej miejscowe zwyczaje prawne 7). Na strukturze prawnej szeregu miast zaważył niemało Dolny

mięskie wzory ustrojowe wędrowały w kierunku przeciwnym, ze wschodu na zachód. I tak np. na Morawach miały miejsce przypadki kolonizacji na prawie włoskim; stanowiły zapewne ciekawe refleksy wędrowki wzorców prawnych po całej Europie 8). Garsć tych szczegółów wystarczy by zrozumieć, że kolonizacja na prawie niemieckim nie była równo pochodzenie samego prawa sięga daleko poza Niemcy. Pogląd ten utwierdza drobiazgowo analiza zjawiska kolonizacji ściśle niemieckiej, tj. osadnictwa przybyszów z Niemiec, przenowadzona w cytowanej w przy pisach pracy.

Moment istotny w ocenie wpływu kolonizacji na strukturę miast polskich stanowi fakt, iż przeważająca ilość lokacji objęła osady, które od dawna prosperowały już jako faktyczne miasta. W Wielkopolsce dla okresu w. XIII-XV prof. Kaczmarek ilość tę ocenia na 85%. Kolonizacja miejska na tzw. surowym korzeniu była zjawiskiem rzadkim.

Tendencyjna nacjonalistyczna historiografia niemiecka utwierdzała od lat błędne przekonanie, iż dopiero

Stanisław PAGACZEWSKI

# Białe dnie

TO się zaczyna co roku — mniej więcej o tej samej porze. Wieczorami napływa w ulice słaby zapach dalekich łąk i nieba. Trzeba wtedy wejść na wzgórze wapienne, z którego wyrasta zamek, i spojrzeć ku południowi. Tam, za horyzontem, są góry. Czekają w spokoju ośniewające białych szczytów. Bliżej są wzgórze obelone wsoomnieniem śniegu — a jeszcze bliżej łąki, osnace zapachem. Tu zaś jest miasto. Światła pełna po ulicach ploszcz przedwiecznó. Zamek wsiaka w ciemniejące niebo.

Wtedy kupujesz bukiet kwiatów i wręczasz dziewczynie idacej przy tobie. Poszarpana linia renesansowej atyki Sukienki przypomina natrętnie góry. Tam teraz śnieg leży w wiosennym słońcu. Tam teraz oczy mrużą się pod naporem fal oszalełego światła. Ulica pachnie benzyną i kurzem. Niby przypadkiem zachodzisz do „Orbisu”. Pytasz obojętnie o pociąg do Warszawy — gdy wychodzisz czujesz w palcach bilet Kraków-Zakopane. To tak, mimochodem.

Już świt biegnie za pasmami zalesionych wzgórz. Spiewają opony na pustej szosie. Jest przecucie czegoś radosnego, czekającego za białą linią gór, na które się wspina wstęga zastępy asfaltu. Poła pęczniej przedwiośniem. Wturyki jasnozielone

nach krzewów zlewają się z brązowym zapachem ziemi.

Tak jest co roku. W zylach zaczyna się tłum niepokromione pragnienie wzdętych. Pragnienie swobodnego oddechu rośnie i potężnieje. Nie zwalczysz, nie zdusisz. Zaczynasz myśleć o śniegu, który pokrywa dalekie góry. Pragniesz zapachu lasów wolnych już od okiści i grzejących się w marcowym słońcu, które jest z dnia na dzień jaśniejsze i gorętsze. Więc siedzisz przy oknie autobusu lub pociągu i wypatrujesz w oddali kamiennej pieśni Tatę.

Obłoki spływają po mokrych drogach na zieleniące się pąby wierz. Wsie pozdrawiają pogodę niebieskimi dymami kominów. Przylepione do toru banalne domki drożników śleją przestzeń. W oknach budynków stacyjnych, gdzie mieszkają nadszające nacelnikowe, zeszlorzeczne pelargonie wysysają sok z obłoków napeczniałych słońcem. Rozlewiska strumieni płyną z chętlwym chlupotem pod żelaznymi mostkami, nad którymi pastwi się zadyszany szereg czarnych wagonów. Pachnie świat — wzięwami lających łąk, podmokłych lasów, dalekich osniezonych gór, weszbranach połoków, dalekich osniezonych gór, weszbranach połoków, dalekich osniezonych gór, weszbranach połoków. Czy czucie przedziwmy zapach przedwiośnia?

Więc są góry. Spiętrzone, błyszczące lustra. Błękit ścieka pomiędzy szczyty. W dolinach leży gesty fiolet. Słońce szczyple skórę twarzy. A potem jest szmer desek na chrzeszczącym śniegu. To zresztą nie śnieg — to chyba szkło potluczone na miazę i zaprawione miejscami farbą do bielizny. Odczepia się od szarego budynku wagonik kolejki i planie na spotkanie gór. Ziemia odchodzi w dół. Przed oczyma kładzie się jaskrawy stok. Słońce ścieka po zboczach. Spada w dół skulona sylvetka narciarza! Zjazd kończy się akordem kristianii.

Tu szczyt. Odepchnięcie się od zbocza i pod w białosc leżacej w dole hali. Wsiąkanie w przeszłość, dążenie w biel, Wiatr w oczach. Lzy na policzkach.

Napięcie mięśni. Stok odnada w tel. Isodnieje. Jest spokój. Po twarzy ścieka a cizła umiło. Słoneczko płecze. Serce słuka miarowo. Trzeba się oprzeć na kijach i zamknąć w oczach rozżarzony świat gór.

Pociąg odnawia w dolinę. Topnieją góry na horyzoncie. Nic dziwnego — tak ciepło... Stanione góry pływają w kamiennych łożyskach. Płuszczą i bulgoczą. Na stacjach maie dzieci o niebieskich oczach sprzedają bukietki kwiatków. W oknach budynków stacyjnych zeszlorzeczne pelargonie wysysają sok z obłoków napeczniałych słońcem.

Przede mną biurko. Przed tobą masywna warsztat, ściana węgla, stos białych kart papieru, przed nimi taśma rucloma z częściami samochodów, młot parowy, turbina elektryczna, szereg siobaczy, kolby i reorty laboratorniów, tysiące tomów biblioteki, setki listów do rozniesienia, wykresy produkcji, biały kwadrat rycownicy, kratownica obrotowego dźwigu lub kabina samolotu. Przed nami Polska rosnaca wysłkiem rak i mózgowy. Za nami dzień słońca, śniegu i ruchu. Nie, nie za nami. W nas.

St. Pagaczewski.



Zdjęcia B. Pincolski



Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (34)

# LUDZIE I LEWANTY

NAKAZY realizmu socjalistycznego pchnęły pisarzy w teren. Potrzeba zawarcia w dziele artystycznym obrazu przemian naszego życia zmusiła twórców do uważniejszego niż dawniej zajęcia się konkretem, do wnikliwszego poznania procesów produkcyjnych, pełniejszego zrozumienia ich dynamiki.

Najważniejszą prawdą konkretną, najistotniejszą cechą procesów produkcyjnych i najszlachetniejszym wyrazem ich dynamiki jest sens ludzki tych zjawisk, współdziałanie tych zjawisk z człowiekiem, dostrzeganie wpływu osoby ludzkiej na przeobrażenie warunków społecznych i wykazywanie przeobrażenia człowieka przez warunki społeczne.

Konstanty Simonow mówił kiedyś, że literatura fałszująca obraz człowieka była literaturą „poobiednią”. Człowiek oddawał się jej dopiero po powrocie z pracy, pola, biura. Dramaturg i poeta radziecki zwraca uwagę, że literatura chcąc mówić prawdę o człowieku nie może być znowu tylko literaturą „przedobiednią”. My byśmy rozszerzyli: nie może być literaturą „przedfajrantową”.

Tymczasem u nas niektórzy pisarze wciąż popełniają błąd „przedfajrantyzmu” czy — jak kto woli — „dofajrantyzmu”. Ludzie nie mieli swoich domów, nie spali, nie jedli, nie kochali się. Żyli tylko pracą. Tak śpieszyli wraz z autorem do zrównania tempa rozwoju bazy i nadbudowy.

Był to błąd częsty w początkowych etapach historii realizmu socjalistycznego w polskiej literaturze powojennej.

Błąd ten odnaleźć można i w pionierskich niejako „Fundamentach” Pytlakowskiego, i w książkach Stanisława Kowalewskiego („Walka klas”, „Zaloga Elżbiety”), u Zesławskiego („Mirków ruszył”), Mirosława Kowalewskiego („Kampania znaczy walka”) i w „Ludziach z węgla” Niny Rydzewskiej. Zaciążył ponuro nad „Powrotem kapitana Czaplina” Wandy Melecer, zaraził inne powieści o wsi polskiej z „Gorącymi dniami” Nizurkiego na czele oraz z (nie tak dawno opublikowanymi, a więc mogącymi korzystać z doświadczeń poprzedników) powieściami Pierzchały („Dziewczyna”), Bana-

sia („Przebudzenie”) czy Kubalskiego („Świt”). Nie ma sensu mnożyć ten spis przez odświeżanie w pamięci różnych „Nowych murów” czy „Ludzi z rzeki”. Choć tu o stwierdzenie, że błąd ten zaatakowali sami pisarze. Podjęli z nim walkę: negatywną przez ostrą krytykę, pozytywną przez twórcze próby stworzenia postaci, umiających właściwie ukazać człowieka w nowopowstającym świecie.

Jest to proces najistotniejszy w aktualnym stadium rozwoju. Zaczął się on już przed dwoma mniej więcej laty. Świadczą o nim takie pozycje, jak: „Pamiętka z Celulozy” Igora Nowerlygo, którą właściwie wyodrębnić trzeba i ze względu na temat, i ze względu na nie dająca się z niczym do tej pory porównać skalę osiągnięcia ideowo-artystycznego; utwory takie, jak „Opowiadanie buchaltera” Wygodzkiego, częściowo — „Penicylina” Jackiewicza, reportaże Zaleskiego („Urodzaj”), trochę — książka Hamery „Na przykład Plewa” czy najbardziej typowy w tym zakresie „Węgiel” Aleksandra Ścibor-Ryńskiego.

„Lewanty” Andrzeja Brauna \*) wkraczają do rzędu tych zjawisk krokiem śmiałym i zdobywczym. Należy się im wśród nich miejsce jedno z czołowych. Przez chwilę trzeba odzignąć się przed pokusą niebezpiecznego precyzowania: miejsce nad lub obok „Węgla”.

Jednak analogia z powieścią Ścibor-Ryńskiego rysuje się wyraźnie. Warto — bez popadania w jakikolwiek aluzje wpływologiczne — zwrócić uwagę na cechy wspólne obydwu debiutów prozatorskich. Nie chodzi, oczywiście, o to, że problem Markowski — żona przypomina sytuację Mamoń — żona, nie chodzi także o to, że Leon przechodzenie z form współzawodnictwa indywidualnego na współzawodnictwo zawodowe, a później współzawodnictwo długofalowe, obrazują klimat walki o krzepnięcie świadomości kolektywów robotniczych, walki, która zostaje przedstawiona w nierozdzielnym związku z problemami walki klasowej, rysują przed nami kilkumiesięczny odcinek pracy całej placówki, która czytelnik na pierwszych kartkach książki widział jeszcze grzęznącą w starych błędach de-

zorganizacji i powierzchnowego tylko skonsolidowania, a na ostatnich — opuszcza jako jedną z najbardziej chyba zwartych linii bojowych budownictwa socjalistycznego.

To przeobrażenie ogólne, ogólny obraz rozwoju polskich stosunków produkcyjnych żyje dzięki stopieniu go w jedno z obrazem indywidualnych losów ludzkich, będących jednocześnie i współzynnikiem dokonującej się przemiany, i jej wynikiem. „Lewanty” są nie tylko opowieścią o jednej z wielkich indywidualnych losów ludzkich, lecz są także opowieścią o ludziach: o Markowskim, Leonie, Kaczorze, Osnochu, Paliwodzie, Śliwce, Budniku, Warkuszu, Mydlarzu, Wesółskim, Wiśłowskim i wielu, wielu innych.

O tym, że ten walor łączy książkę Brauna z najlepszymi osiągnięciami polskiego realizmu socjalistycznego — była już mowa. Analizując jednak ten walor głębiej, zwrócić trzeba uwagę na to, że jest on jednocześnie — dzięki specjalnemu potraktowaniu przez autora — wyróżnikiem, który i pośród książek o podobnej żarliwości humanistycznej, co książka Brauna, zapewnia jej pozycję odrębną, pozycję specjalną, świadcząca o jeszcze wnikliwszym niż u poprzedników potraktowaniu sprawy centralnej, sprawy człowieka.

Ten walor „Lewantów” wsparty gruntownie (jak się zdaje) znajomością opisywanego środowiska, wielką żarliwością pisarską, wystrzegającą zmysł dostrzegania i odczuwania, wreszcie — zubożony artystycznymi udołnieniami autora, umiającego realizacją ambicji prozatorskich dorównać swej pozycji — nadaje książce szczególną wartość, pasując debiut powieściowy Brauna na jedną z najbardziej rzetelnych pozycji w tym zakresie.

„Lewanty” są opowieścią o rozwoju jednej z ważniejszych instancji planu sześcioletniego: o stoczni gdańskiej. Mówią o jej początkowym stadium, pełnym trudności i niedomagań, ukazują powolne przechodzenie z form współzawodnictwa indywidualnego na współzawodnictwo zawodowe, a później współzawodnictwo długofalowe, obrazują klimat walki o krzepnięcie świadomości kolektywów robotniczych, walki, która zostaje przedstawiona w nierozdzielnym związku z problemami walki klasowej, rysują przed nami kilkumiesięczny odcinek pracy całej placówki, która czytelnik na pierwszych kartkach książki widział jeszcze grzęznącą w starych błędach de-

zorganizacji i powierzchnowego tylko skonsolidowania, a na ostatnich — opuszcza jako jedną z najbardziej chyba zwartych linii bojowych budownictwa socjalistycznego.

To przeobrażenie ogólne, ogólny obraz rozwoju polskich stosunków produkcyjnych żyje dzięki stopieniu go w jedno z obrazem indywidualnych losów ludzkich, będących jednocześnie i współzynnikiem dokonującej się przemiany, i jej wynikiem. „Lewanty” są nie tylko opowieścią o jednej z wielkich indywidualnych losów ludzkich, lecz są także opowieścią o ludziach: o Markowskim, Leonie, Kaczorze, Osnochu, Paliwodzie, Śliwce, Budniku, Warkuszu, Mydlarzu, Wesółskim, Wiśłowskim i wielu, wielu innych.

O tym, że ten walor łączy książkę Brauna z najlepszymi osiągnięciami polskiego realizmu socjalistycznego — była już mowa. Analizując jednak ten walor głębiej, zwrócić trzeba uwagę na to, że jest on jednocześnie — dzięki specjalnemu potraktowaniu przez autora — wyróżnikiem, który i pośród książek o podobnej żarliwości humanistycznej, co książka Brauna, zapewnia jej pozycję odrębną, pozycję specjalną, świadcząca o jeszcze wnikliwszym niż u poprzedników potraktowaniu sprawy centralnej, sprawy człowieka.

NA czym polega specyficzność postawy pisarskiej Brauna?

Jego poprzednicy (przypomnijmy ukazaną analogię: na przykład autor „Węgla”) wykorzystywali w swoich powieściach bardzo dobrą i dokładną znajomość opisywanych środowisk. Byli bardzo blisko swoich bohaterów. Ale jednocześnie wyczuwało się między nimi a bohaterami pewien dystans, który był nie tylko (zawsze koniecznym) dystansem obiektywizującym, lecz i dystansem społecznym, psychologicznym, dystansem mentalności. Wyglądało na to, że pisarze ci widzą swoich bohaterów zawsze z profilu, że piszą o nich z przeczuciem troską o autentyczność, o realia, wybitne w opisie szczególnie mocno jako artystyczne argumenty realizmu. Zewnętrznym przejawem była (czasami nawet dyskretna) stylizacja na robotniczką, konciastą, brylowatą. Konwencja stylizowanej robotnic-

kości słabszym pisarzem (jak i niepoprawnie pod tym względem „Filmowi Polakom”) nakazywała, by robotnik miał twardo ociosaną twarz, może dżob czy brzydką szramę, nie wolno mu było chodzić w krawacie, mówić musiał „taka twoja mać” itp. Wewnętrzną przyczyną tego naiwnego trochę „realizmu” była inteligencja, nadgorliwość manifestowana potrzebą akcentowania odrębności, jakiejś siły, jakiejś — wbrew intencjom pisarzy — egzotyki robotnika. Stylizacja ta była wynikiem inteligentnego opisywania z boku, wynikiem niemożności znalezienia się (w sensie społecznym, psychologicznym, w rozumieniu tej samej mentalności) pośród robotników.

Andrzej Braun jest pośród nich. Na jego powieści nie zaciążył wewnętrzny przymus stylizacji, dlatego też nie ma w niej zewnętrznych jej przejawów. Robotnicy są po prostu robotnikami. Autor nie potrzebuje zdejmować im krawatów, perfumować kropkami skondensowanego potu, nie robi im dżobato-chropowatego maquillage'u. Jeśli realia tego typu wyróżniają — są czymś wtórnym, zrozumiałym jako element charakterystyki, nigdy jako zabieg charakterystyczny. Ta oszczędność i mądra selekcja realiów dobrze służy realizmowi postaci. A wynika chyba właśnie z owego „pośród”, z odrzucenia lub obronienia się przed inteligentnością rysownika wystylizowanych profili.

Zestawiłem powieść Brauna z innymi, aby określić jej miejsce. Nie było w tych zestawieniach żadnej zakamuflowanej wpływologii. Niech więc jeszcze jedno porównanie posłuży wyrazistości krytycznego opisu i oceny.

„Lewanty” — jeśli chodzi o ich umiejętność ukazywania robotników spośród nich — przypominają książki André Stilla. Zachowując właściwe proporcje, zwrócić należy uwagę, że u Brauna — podobnie jak i u wybitnego laureata Nagrody Stalinskiej — bohaterzy nie są oglądani z profilu, autor jest niejako jednym z nich, nie odczuwa się tego dystansu, który inni usiłują pokonać nadmiernymi zblizeniami, udaną szorstkością czy poklepywaniem, co many traktować jako rzekome życie. Jest wielka zasługa Brauna, że zdołał dla swej powieści umiar dyskretności bliskości, stamowiały tak wielką siłą autora „Woli i gniewu”.

Nie sądzę, że „Lewanty” tylko dlatego ten walor zdobyły, że ich autor urodził się na łódzkich Bałubach. Motyka nie wyjaśnia człowieka bez reszty. Twórca „Pierwszego starcia” był przecież synem krawca z Hergnies. Jest to raczej wynikiem dużej dojrzałości pisarskiej, wspartej rzetelną przeżywą dojrzałością społeczną, głębokim zrozumieniem szlacheckiej walki o postęp i sprawiedliwość.

TE istotne walory postawy pisarskiej Brauna, dyktujące jednocześnie surowe rygory dla jego warsztatu pisarskiego, nie uchroniły jednak „Lewantów” od pewnych zaskórnic, przykrych dysproporcji czy dręczących niejasności.

Ponieważ traktuję swój artykuł jako wypunktowanie nowych zagadnień, które wynikają z lektury udanej powieści młodego i dojrzałego prozaika, podobnie jak przy omawianiu jego zasług i przy otknięciach ograniczę się do wskazania zjawisk, które mogą stanowić w przyszłości materiał wnioskotwórczy. Dwa takie zjawiska wydają mi się godne zastanowienia.

## Gdy miastu wytyczano nowe granice...

doszło do sporu między braćmi. Bolesław został przejściowo pozbawiony wolności. Wreszcie doszło do zgody i pamiętny przywilej bracia wydałi wspólnie w 1253 r. Przemysł zawiadnął lewym brzegiem rzeki. Cztery lata później zmarł zresztą w wieku lat 36 i dzielnica oraz nowoorganizowane miasto przeszło w ręce Bolesława Pobożnego.

W toku regulacji gruntowej książę wymienił osiedle kapitulne, przekazał Ostrów Tumski i Śródkę arcybiskupstwu. Przeniósł swą siedzibę na lewy brzeg rzeki do zamku na wzgórzu, zwanym do dziś jego imieniem.

Swoboda przestrzeni pozwoliła na wytyczenie miasta o regularnym, przejrzystym układzie, czystym na Słowiańszczyźnie, którego brakowało nieraz zciśnionym miastom zachodniej Europy. Poznań szybko stał się miastem murowanym. Rynek staromiejski, kwadrat 140 X 140 m, uderzał swym wielkim obszarem, a wewnętrzną zabudową przewyższył niby szereg większych i bogatszych miast. Poza ratuszem złożyły się na nią 2 hale targowe, arsenał, waga miejska i domki budnicze.

Nowowytoczono centrum miejskie zasiedliła przede wszystkim ludność miejscowa przeludnionej Śródki, sieć miejskich osad, wylizanych na wstępie, a wreszcie wsi służebnych. Miał nową Poznań już wtedy swe

Dokończenie ze str. 5

„stare miasto”, osadę św. Gotarda z ludnością<sup>1)</sup>. Koloniści z Niemiec, których też tu znaleźliśmy, nie uzyskali nigdy większości wśród żywołu miejskiego.

Poznań gotyku, renesansu, baroku rozwijał się bujnie. Zaważył nieraz na losach kraju, wznosił arcydzieła sztuki w skali europejskiej w rodzaju pięknego ratusza. Teżal jako ośrodek handlowy. Po dwóch wiekach (w 1474) Wenecjanin Contarini wyraził się o nim: „miasto wspaniałe pięknoscia ulic i budynków, sławne w świecie jako emporium handlowe<sup>2)</sup>”. Rozwój swój zawdzięczał w niemałej mierze wycieczki wszystkich walorów położenia na skrzyżowaniu ważnych szlaków, w okolicy pozwalającej na szeroki rozrost. Wycieczki to w równej mierze posiadał pierwszy Piastowie, założyciele miasta na Ostrowie przed 1000 lat, jak też ich praprotokem Przemysł, przynoszący centrum Poznania na lewy brzeg rzeki.

Współczesny rozwój Poznania nawiązuje do tradycji miejskich początków Przyszłość miasta, co akcentują realizowane już plany rozbudowy, leży na prawym, niewykorzystanym dostatecznie brzegu rzeki.

### V. POZNAŃSKIE ROCZNICE

STOIMY w obliczu szeregu ważnych rocznic i dat poznańskiej historii. Rok bieżący przebiega pod znakiem obchodu 700-lecia lokacji. Dla braku ściślejszej daty mamy pełne prawo powiązać ją z 1000-leciem początków miasta. Główne uroczystości odbędą się w miesiącach letnich. Już obecnie rozpoczynają się do nich przygotowania. Nauka poznańska złoży miastu-jubilatowi 2 obzerne zeszyty „Przeglądu Zachodniego”, organu Inst. Zachodniego, w łącznej objętości ponad 400 stron. Wypełnią je obficie studia związane z miastem.

Ku zakończeniu zmierza odbudowa i reorganizacja Katedry Poznańskiej. W 1955 r. oczekuje nas 400-lecie ratusza poznańskiego, w jego renesansowej postaci, która uchodził w znawców za najpiękniejszą tego typu budowlę na wschód od Renu i na północ od Alp. Zabytek odzyska do tej pory pełnię świetności swych najlepszych czasów. W 1956 r. wreszcie nastąpi całkowite ukończenie rekonstrukcji staromiejskiej dzielnicy Poznania w jej historycznej postaci. Kamienie przyrynkowe powrócą do swych XVIII-wiecznych fasad, często kroczone nieprawidłowo później brakiem smaku XIX-wiecznych ekspery-

tów budowlanych. Zostaną odtworzone na podstawie danych archiwalnych i rycin sukiennicze, kramy, arsenał, waga miejska. Już dziś odbudowane neoklasycyzyzm odwach i rząd miniaturowych domków budniczych zapowiada to dzieło.

W latach najbliższych wyrośnie również na wzgórzu Przemysława zamek. Ponieważ brak nam danych co do wyglądu budowli w czasach Przemysławów, będzie ona zrekonstruowana w późniejszej XVI-wiecznej postaci i stanie się centralnym ośrodkiem muzealnym Wielkopolski. Ukończenie tej pracy raz jeszcze przypomni okres spotu obu braci o brzegi Warty, oraz daleki skok naprzód w rozwoju miasta — przywilej lokacyjny z 1253 roku.

Leszek Prorok

<sup>1)</sup> Tekst przywileju podał K. Kossak Dipl. Wielkopolski Tow. Przyj. Nauk T. I, Poznań 1877, nr 321.

<sup>2)</sup> Por. raport z 1663 pt. „Nad grobowcem pierwszych Piastów” Dz. i J. tro Nr 23 (241) z r. 1952.

<sup>3)</sup> Z. Kaczmarczyk, Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry, Poznań 1943, str. 28, oraz R. Janka i E. Heschulski, Przegląd Zachodni Nr. 5-6, 32 str. 348-349.

<sup>4)</sup> J. w.

<sup>5)</sup> Kaczmarczyk, J. w., str. 143.

<sup>6)</sup> J. w., 137.

<sup>7)</sup> J. w., 147.

<sup>8)</sup> Ciekawa ta informacja, niespotykana w naszej literaturze, zawdzięczam p. dr. A. J. Kamińskiemu.

<sup>9)</sup> Zb. Zieliński, Rozwój m. Poznania od końca X do XVIII wieku, Kronika Miasta Poznania, Rocznik XXII, Nr 4, str. 253.

<sup>10)</sup> Zb. Zieliński, J. w., str. 258

(Dokończenie na str. 11)



Bronisław JANTAR

# Lekarz i pacjent

W USTROJU kapitalistycznym lecznictwo opierało się na wolnej praktyce lekarskiej, sprawa zaś zdrowia traktowana była jako wyłącznie prywatna. Prowadziło to w praktyce do ograniczenia opieki lekarskiej w stosunku do dużej części ludności niezamożnej. Wprawdzie i wówczas istniało już wywalczone przez świat pracy wielu krajów lecznictwo ubezpieczeniowe, lecz nie było ono powszechne. W konsekwencji powstawała w tym ustroju sprzeczność między interesem wolnopraktykującego lekarza a interesem pacjenta. Doprowadziło to do oderwania akcji zapobiegawczej przeciw chorobom od lecznictwa (zapobieganie ograniczało się głównie do walki z chorobami zakaźnymi), a pacjent był często traktowany w zależności od jego możliwości finansowych.

W ustroju socjalistycznym lecznictwo stało się powszechne i bezpłatne dla wszystkich. Przywykliśmy już dzisiaj do tego faktu i często nie doceniamy w pełni płynących stąd korzyści. Nieraz narzekamy na lecznictwo uspołecznione, nie zadawajac się dotychczasowym stanem jego rozwoju. Krytyka ta wprawdzie jest gwarancją dalszego doskonalenia się tego systemu, lecz z drugiej strony należy co pewien czas spojrzeć za siebie, by zdać sobie sprawę z dokonanego postępu. Postęp ten jest niewątpliwym i dowodzi, że w naszym ustroju możemy słusznie mówić o uspołecznieniu lecznictwa.

Lecznictwo uspołecznione realizuje się poprzez jednolitą na terenie całego kraju sieć komórek służby zdrowia, łącząc przy tym lecznictwo otwarte z zamkniętym (połączenie szpitala z poliklinikami) oraz rejonizując teren stosownie do potrzeb. Niewątpliwie osiągnięcia, jakie z roku na rok notujemy, nie są jednoznaczne z brakiem poważnych trudności i nowych, nieraz bardzo skomplikowanych problemów, jakie tu na nas czekają.

## MEDYCYNA PRZESTAŁA BYĆ WOLNYM ZAWODEM

NA wstępie, dla uniknięcia ewentualnych nieporozumień, chciałbym podać dwa zastrzeżenia: lecznictwo uspołecznione uważam za wielką zdobycz, którą możemy się szczycić. Rozpatrywanie tej problematyki należy zatem skierować jedynie na ulepszenie istniejącego stanu rzeczy, na usunięcie niedociągnięć i braków. Drugie zastrzeżenie: uważam, że cały problem należy rozpatrywać nie z punktu widzenia lekarza, lecz społeczeństwa, w myśl powiedzenia, że

tabakiera dla nosa, nie nos dla tabakiera. Z przyjęcia takiego punktu widzenia wypłyną dwie dalsze konsekwencje: pierwsza to ta, że wychodząc od społeczeństwa wracamy często siłą rzeczy do lekarza, lecz uwzględniamy w jego sytuacji tylko te problemy względnie postulaty, które są zgodne z interesami społeczeństwa.

I za taki np. należy uznać postulat indywidualnej pomocy lekarzowi w jego specjalizacji, gdyż leży w interesie społeczeństwa, by lekarz zdobył jak największy zakres wiedzy. Druga konsekwencja streszcza się w postulatcie pod adresem całego świata lekarskiego: lekarz musi coraz pełniej zastępować egoistyczny punkt widzenia, właściwy warunkom ustroju kapitalistycznego, społecznym punktem widzenia. Okres wolnej, prywatnej praktyki, w której wielu lekarzy dorabiało się szybko, bo byli lekarzami ludzi bogatych, skończył się bezpowrotnie. Chodzi więc o postulat subiektywnej zmiany stosunku do swego zawodu w skali przeciętnej (powszechnej), bo ideowe jednostki istniały również i w ustroju kapitalistycznym. Żądanie to jest właściwie ogólnym postulatem aktualnym dla wielu dziedzin życia w Polsce powojennej. Na miejsce prywatnego przedsiębiorstwa — uspołecznione, zamiast wysokich zarobków wolnych zawodów — uposażenie miesięczne odpowiednie do pracy.

## KONIECZNOŚĆ PODNOSZENIA POZIOMU WIEDZY

P O tych zastrzeżeniach wstępnych wejdźmy w głąb problematyki lecznictwa uspołecznionego. Zdaje się, że w naszych warunkach zasadniczym problemem staje się konieczność pogodzenia upowszechnienia lecznictwa z jednoczesnym utrzymaniem wysokiej jakości świadczonych usług i zabiegów. Decyduje o tym w praktyce przede wszystkim stałe podnoszenie wiedzy medycznej wśród lekarzy. Zagadnienie to posiada dwa aspekty, jeden, łatwiejszy do rozwiązania, to postęp teoretycznej wiedzy medycznej, opierający się o uniwersyteckie kliniki i zawodową kadre pracowników naukowych. Wyposażenie techniczne pracowni naukowych i klinik oraz sprawa uposażenia pracowników, zapal do pracy w swobodnej atmosferze badań naukowych będą tu decydujące dla sprawy postępu medycyny. Wiele danych wskazuje na to, że sprawa ta ma w ustroju socjalistycznym pomyślne perspektywy rozwojowe.

Drugi aspekt tego zagadnienia jest bardziej skomplikowany. Chodzi o szerokie rzesze tzw. lekarzy praktyków, na których spoczywa wielka odpowiedzialność za zdrowie mas. Jak warunki trzeba stworzyć, by lekarz praktyk chciał i mógł podnosić poziom wiedzy fachowej, by chciał i mógł stać się rzetelnym specjalistą?

Odpowiednie uposażenie materialne lekarza jest na pewno jednym z bardzo ważnych i zasadniczych warunków, lecz nie rozwiązuje jeszcze kwestii. Wchodzi tu bowiem ponadto w grę rozporządzanie pewną ilością czasu na dokształcanie się, co przy obecnym obciążeniu pracy lekarzy stanowi problem niewątpliwie trudny, oraz otoczenie życzliwą opieką młodych, dokształcających się lekarzy przez ich bezpośrednie władze zwierzchnie. Opieka ta wyrażać się musi w pomocy (ulgi i udogodnienia wszelkiego rodzaju), a specjalnie daleko powinna ona iść w wypadkach pracy przechodzącej już w dziedzinę pracy naukowej.

## RACJONALNE PLANOWANIE ROZMIERZENIA KADR LEKARSKICH

Z ASADNICZĄ kwestią jest tu przydział pracy ściśle odpowiadającej wybranej specjalności i zainteresowaniu oraz stworzenie warunków umożliwiających dalszą specjalizację. Przykład konkretny: młoda lekarka, która rozpoczęła już specjalizację w rentgenologii, zostaje skierowana do miasta powiatowego „X”, bo tam właśnie wakał etat. W ambulatorium nie ma jednak możliwości nie tylko kontynuowania rozpoczętej specjalizacji, lecz nawet podjęcia nowej specjalizacji w internie, gdyż pracując sama, bez opieki starszego lekarza, uczy się mozolnie, co najwyżej na własnych błędach. Nauka to wątpliwa i społecznie kosztowna.

Raz wybrany kierunek specjalizacji należy w miarę możliwości utrzymać. Komórki planujące przydziały pracy powinny w ramach ogólnego planowania, kierującego się oczywiście potrzebami społeczeństwa, brać pod uwagę ponadto dwie rzeczy: zamiłowanie indywidualne lekarza oraz jego sytuację osobistą. Wiado-

mo, że w szerokich, ogólnych ramach gospodarki planowej, istnieją duże możliwości takiego czy innego ustawienia człowieka i sądzę, że w wielu bardzo wypadkach można bez popadnięcia w konflikt z interesem społecznym uwzględnić osobiste warunki, które często decydują o dobrym samopoczuciu lekarza.

Dalsze zagadnienie — to umożliwienie, a nawet zachęcenie do pracy naukowej tych lekarzy-praktyków, którzy czują do niej zamilowanie.

Jest to sprawa pierwszorzędnej wagi. Pamiętając o niedoskonałości ludzkiego aparatu selekcyjnego nie możemy się ludzi, że nowe kadry naukowe wypełnią zawsze najzdolniejsi i najbardziej zamiłowani młodzi naukowcy. Lecz gdyby nawet tak było (co jest nieprawdopodobne choćby z uwagi na nieuniknione omyłki), to jeszcze wiele przyczyn przemawia za tym, by zachęcić szeroki ogół lekarski do samodzielnej pracy naukowej-badawczej, choćby we własnym zakresie i na małą skalę. Były to bowiem ważny czynnik, jeśli chodzi o podtrzymanie zainteresowania lekarzy ich własną pracą zawodową i zachęcenie ich do pracy nad pogłębieniem swych umiejętności. Bezpośrednią korzyść z tego odnosi przede wszystkim pacjenci, a ponadto teoretyczna praca lekarza-praktyka nie pozostaje bez dodatniego wpływu na najbliższe otoczenie zawodowe, podnosząc jego poziom ideowy i fachowy. Za rzecz bezsporną uważam konieczność opieki władz nad warunkami i faktycznymi postępami pracy młodego absolwenta w wybranej przez niego specjalności. Często młody lekarz pozabawiony jest tej opieki i pomocy i nikt nie troszczy się, czy znajduje się on pod doświadczonym kierunkiem starszego, doświadczonego kolegi. W tym celu może byłoby pożądane wprowadzenie czegoś w rodzaju „książeczek” praktyki lekarskiej, gdzie byłyby zapisywane np. odbyte konferencje i praktyki kliniczne, jednym słowem byłby to przegląd do konanego postępu w kształceniu się, który mógłby mieć wpływ na awans i uposażenie. Niestety, najczęściej bierze się pod uwagę etat i lukę gdzieś w terenie, którą w ogólnym planie trzeba zaplanować. Za mało myślą się o wiedzy, którą w pierwszych dziesięciu latach praktyki powinien zdobyć młody lekarz. Oczywiście jest to wynikiem przerosłości biurokratycznych niektórych placówek.

Jeśli chodzi o praktykę wydaje się rzeczą konieczną, by każdy absolwent medycyny pracujący w terenie spędził w ciągu kilku lat po studiach przynajmniej dwa miesiące w roku na kurso-praktyce w dużym, dobrze postawionym ośrodku klinicznym czy szpitalnym, aby mógł opanować praktycznie swój zawód. Dawniej te role spełniał 2-letni staż, skasowane jednak ze względu na wielkie potrzeby terenu. Prawdą jest, że teren woła wielkim głosem o lekarzy, lecz potrzebuje on dobrych fachowców. Są dżę, że w obecnej sytuacji najważniejszym wyjściem byłoby obowiązkowe coroczne praktyki i kursy.

## O SZACUNKU SPOŁECZEŃSTWA DLA PRACY LEKARZA

W LECZNICTWIE, w związku z jego umasowaniem, rozwija się w dużym stopniu praca administracyjna. Wciążani są do niej lekarze, którzy i tak przeciążeni są leczeniem. Jest rzeczą oczywistą, że w podobnej masowej organizacji nie sposób uniknąć pracy papierkowej. Chodzi więc o to tylko, by lekarz był od niej możliwie odciążony, by mógł swą energię i uwagę skupić przede wszystkim na lecznictwie.

Ważną sprawą jest tu wykształcenie właściwego stosunku społeczeństwa do pracy lekarza. Nieraz zdziwia się tak, że lekarz przeciążony pracą spotyka się ze strony ludzi ko rzystających z jego usług z niewłaściwym i nieuczciwym stosunkiem. Są jeszcze ludzie, którzy chcą po prostu nabrać lekarza, wyłudzić od niego zwolnienie z pracy, czy coś podobnego — nie rozumiejąc, że szkodzi tu podwójnie społeczeństwu. Nie tylko bowiem chodzi tu o ich własne bumelanctwo. Stają się oni ponadto przyczyną tego, że lekarz poświęca im czas ze szkoda dla ludzi, którzy jego pomocy prawdziwie potrzebują. Należy więc podnieść również akcję uświadamiającą w sprawie stosunku społeczeństwa do lekarza.

Na zakończenie jeszcze jedno: służbie zdrowia słusznie przypisuje się w Polsce olbrzymią rolę stosownie do zadań, jakie w wyniszczonym wojną społeczeństwie ma ona spełnić. Wobec społecznej i narodowej wagi tych spraw wydaje się konieczne, by zagadnienie lecznictwa traktować zupełnie specjalnie. Może tak jak pracę górnik.

D. DELALANDE O.P.

tłum. H. Oledzka

## Śpiew gregoriański i inne śpiewy liturgiczne

KOŚCIÓŁ łaciński nie zna dziś niemal innego śpiewu poza gregoriańskim, należy pamiętać jednak, że ten pewnego rodzaju monopol nie trwał od początku. Pierwotnie śpiew gregoriański miał charakter wyłącznie lokalny, a nawet ściśle, specyficznie rzymski. Obok niego było wiele innych rodzajów śpiewu również lokalnych, obecnie zresztą na ogół zanikanych; niektóre z nich pozostawiły jednak więcej lub mniej wyraźne ślady. Nie wyciskając dokładnie powinińmy wspomnieć przynajmniej o następujących rodzajach śpiewu: benewentyńskim, gallickańskim, mozarabskim itd. Jedynie śpiew ambrożyński doszedł do nas w całości i cieszy się zawsze wielkim poważaniem w diecezji mediolańskiej; Dom Sunol (zm. 1946) odtworzył jego tekst w latach 1935-39.

Stopniowe zaniechanie tych śpiewów na korzyść melodii rzymskich ma wiele przyczyn: obok starania o ujednostajnienie — stałej troski Stolcy Apostolskiej — należy wspomnieć o wypadkach politycznych, jakie się do tego przyczyniły. Znam jest rolę Pepina Małego i Karola Wielkiego w zaniknięciu rytuału gallickańskiego\*. Z drugiej strony rozszerzenie rzymskiego rytuału i śpiewu związane jest z przedsięwzięciami misyjnymi (Grzegorz Wielki posyła do Angli św. Augustyna z Canterbury. Anzila zaś posyła do Niemiec św. Bonifacego\*\*).

Niewątpliwie sukces ten — mimo iż boleśnie nad niepowetowaną stratą całego dorobku artystycznego i religijnego — jest całkowicie zrozumiały dzięki niezrównanym zaletom gregoriańskiego kantyleny liturgicznej. W ogóle kościoły, które przyjęły melodie rzymskie, zyskały na tej zmianie. Możemy porównywać różne style na podstawie tych nielicznych ułamków, które ocalały od zniszczenia, jak np. niektóre urywki starożytnej liturgii benewentyńskiej; sprawa, wiają one wrażenie bardzo surowych i monotonicznych. Pomimo że spadek muzyczny kościoła mediolańskiego jest bardzo interesujący, to — wyłączając z naszych rozważań prawdziwe arcydzieła — nie podobna oprzeć się ogólnemu wrażeniu, że spotyka się w nim dżężny, chropowatość, brak proporcji, sztywność, szanowana ze względu na swą starożytność, nie osiąga jednak wykończenia, równowagi i dojrzałości sztuki gregoriańskiej. Różnica jest tym wyraźniejsza, że tematy muzyczne są często te same.

W związku z tą uwagą nasuwa się pytanie co do pochodzenia łacińskich śpiewów liturgicznych. Problem ten jest bardzo niejasny, a prace naukowe nie są jeszcze dostatecznie zaawansowane, by można było dać pewną odpowiedź. Oto co można powiedzieć z niejakim prawdopodobieństwem:

1) Istnieje pokrewieństwo pomiędzy różnymi rodzajami śpiewów zachodnich. Nie znaczy to, by każdy utwór muzyczny określonego rytuału odpowiadał utworowi mającemu podobną budowę czy natchnienie w innych rytuałach, lecz tylko, że można zauważyć znaczną ilość znamiennych pokrewieństw. Łatwo stwierdzić takie pokrewieństwo pomiędzy melodią ambrożyjską i gregoriańską: widzimy niekiedy, że te ostatnie rozwijają w sposób oryginalny temat surowy w rytuale mediolańskim, niekiedy oba rytuały niezależnie od siebie rozwijają w sposób im kiedyś temat, już zaginiony\*\*\*).

\* Wszystkie wyjaśnienia oraz potrzebne nawiązania znaleźć można w serii artykułów opublikowanych ostatnio w przeglądzie „Musique et liturgie” pt. Origine, histoire et restitution du Chant Gregorien, podpisanych przez Dom Frogera, mnicha z Solesmes.

W numerze 19 z lutego 1951 r., w artykule zawierającym szczegółowy rozbiór historii śpiewu rzymskiego, autor pracy Dom Froger dochodzi do wniosku, że „liturgia rzymska i śpiew rzymski, wprawdzie do Galii frankońskiej za Pepina w 754, a przez Karola Wielkiego nakazane w całym cesarstwie, nie reprezentują stanu rzeczy za Szczepana II” — papież ten przekształcił „jak panował” „lecz ten stan rzeczy, jaki panował za Grzegorza III o 15 lat wcześniej”.

\*\* Powinińmy w każdym razie dla ścisłości zaznaczyć, że ponieważ przedsięwzięcia te poprzedziły ujednostajnienie i, co za tym idzie, pierwowzór rozpowszechniony przez Grzegorza III, nie możemy zatem powiedzieć, czy śpiew rzymski posiadał te same formy za życia tego papieża.

\*\*\* Przykład pierwszego wypadku: Introit gregoriański Dominus dixit (msza o północy) i antyfony mediolańska post. Evang. (msza o świcie). (Graduel milanais 1935, str. 39).

Przykład drugiego wypadku: Introit gregoriański i Ingressa mediolańska Resurrexi Wielkanocne (Graduel milanais 1935, str. 207).

Niekiedy również Mediolan pozycza u Rzymu\*\*\*\*).

Niemniej widoczne jest pokrewieństwo pomiędzy śpiewem gregoriańskim a śpiewem właściwym bazylice św. Piotra w Rzymie; ten ostatni może być starszy od śpiewu gregoriańskiego i przeżył zresztą bardzo znacznie okres rozpowszechniania swego rywala\*\*\*\*\*).

2) Z drugiej strony nie podobna wątpić, że pierwotny Kościół chrześcijański śpiewał i że podjął spadek liturgiczny i muzyczny synagogi, działając zresztą bardzo właśnie zgodnie z własną osobowością duchową; nie należy wszakże przeceniać wpływów żydowskich na nasz chorał gregoriański; w rzeczywistości wpływ ten był zapewne dość słaby. Większe znaczenie miały niewątpliwie inne prądy, te, które były wynikiem wielkiego ruchu liturgicznego i muzycznego, jaki miał miejsce w Syrii w IV wieku; jemu to mamy do zawdzięczenia psalmodię antyfoniczną. Wpływ mógł być bezpośredni lub też pośredni; odbił się on również na repertuarze bizantyjskim, przez to pośrednictwo ślepnął także do kantyleny zachodniej. Wpływ muzyki bizantyjskiej przejawia się nie tylko w wypadkach melodii towarzyszącej tekstowi dwujęzycznemu, gdzie jest widoczny, ale nawet i w innych; gdy artysta gregoriański posługując się melodią grecką przemyslał ją na nowo w zależności od nowych słów, przejętych duchem języka łacińskiego.

Wpływ ten łatwo zrozumieć, jeżeli się pomyśli o politycznej przewadze Bizancjum nad Rzymem w ciągu VI wieku i o udziale, jaki miał Wschód w rządzeniu Kościołem w VII wieku za papieża pochodzących z imperium bizantyjskiego; kilku z nich, jak cytuję Liber Pontificalis, było przedtem kierownikami chórów kościelnych (prechantres).

Jednakże historia nie może dokładnie wskazać chwili, kiedy śpiew gregoriański osiągnął swą formę ostateczną. Nie jest też bynajmniej dowiedzione, pomimo że tak twierdzi legenda, iż stało się to w czasach Grzegorza Wielkiego (umarł w 604 r.). Nawet fakt, że wprowadził on śpiew Alleluja poza czasem wielkanocnym, nie przesądza, że sam był jego kompozytorem; chodzi tu o etap, może bardzo ważny w opracowaniu repertuaru, ale nie ostatni i jeden z takich, jakie bywały za jego poprzedników i następców. W rzeczywistości nieliczne stare świadectwa każą nam przypuszczać, że z punktu widzenia liturgicznego i muzycznego okres tworzenia się się od V wieku aż do VII, w czasie którego, jak pamiętamy, papież wschodni wymierali swoje wpływy. W wieku VIII okres ten się skończył\*\*\*\*\*).

Śpiew gregoriański aż po dzień dzisiejszy pozostaje własnością liturgii rzymskiej (Motu proprio Inter pastoralis officii sollicitudines i Encyklika Mediator Dei); ze wzruszeniem śledzimy najpierw w rękopisach — pomimo omyłek kopistów i ewolucji gustu — potem w książkach drukowanych zasadniczą wierność Kościoła swemu tekstowi muzycznemu\*\*\*\*\*). W chwili gdy nieszczęśliwa praca czasu groziła mu zagładą, wierność ta stała się motorem wysiłku, jaki konieczny był, by sprowadzić ten śpiew do pierwotnej czystości, a ponieważ nie nie jest zbyt doskonałe, gdy chodzi o chwałę Bożą i opiewanie Jego Miłości, możemy czcić, że zarysowane dzieło zostało podjęte od podstaw i że są już w toku nowe prace, które dzięki swej wartości i rzetelności naukowej powinny doprowadzić do ostatecznych wyników.

\*\*\*\* Translacja mediolańska została ustanowiona później i musiała korzystać z wpływu komuni rzymskich.

\*\*\*\*\* Śpiew właściwy bazylice św. Piotra w Rzymie zachował się w kilku bardzo rzadkich rękopisach, nieestetycznie dość spóźnionych (Le Rome Vat. lat. 5319 jest z XII wieku), dających jednak wystarczająco dokładne pojęcie o oryginalności tej tradycji muzycznej.

\*\*\*\*\* Dom Froger, op. cit. o rozwinęciu odmianach, oraz nowe studia Welleśa: Eastern Element in Western Chant. Studies in the early history of ecclesiastical music, Boston 1947.

\*\*\*\*\* Tom II i III Paleografii Muzycznej z Solesmes poświęcone są w całości ilustracji tego twierdzenia.



\* PAX \*

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

### NOWY TESTAMENT

przekład

Ks. Prof. E. Dąbrowskiego

Wydanie czwarte poprawione i uzupełnione

w dwubarwnej kartonowej oprawie

Cena zł 32.—

\*

### Stefania Skwarczyńska

#### STUDIA I SZKICE LITERACKIE

Cena zł 45.—

\*

### Zbyszko Bednorz

#### DZIECI I BAGAŻE

Powieść o Śląsku Opolskim

Cena zł 15.—

\*

### Maciej Józef Kononowicz

#### W RAMIONACH SREBRNYCH RZEK

Zbiorek Poezji o Ziemlach Zachodnich

Cena zł 15.—

\*

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX” Mokotowska 43, Warszawa, za zaliczeniem lub po wpłacie na konto PKO Nr I-8515 z dodaniem zł 3.— na koszt przesyłki.



**T**RWAJĄCE od mniej więcej roku walczy w Tunisie i Maroku, bezwzględnie i krwawo tłumione przez władze francuskie, są jednym z wielu przejawów walk wyzwolenczych ludów kolonialnych, charakterystycznych okres powojenny. Przyczyny ich są wszędzie mniej więcej te same: wyzysk gospodarczy, ucisk polityczny, powstrzymywanie postępu społecznego i, co najważniejsze, polityczne dojrzwianie tych ludów.

Od schematu tego nie odbiegają w zasadzie przyczyny trapiących Francję niepokojów w jej posiadłościach północno-afrykańskich. Kraje te, o łącznej powierzchni 545 000 km<sup>2</sup> (Maroko 420 000 km<sup>2</sup>, Tunis 125 000 km<sup>2</sup>), zamieszkałe są przez przeszło 12 mil. ludzi (Maroko — ca 8 mil., Tunis — ca 3 mil.), w przeważającej części Arabów i Berberów. Dzięki klimatowi śródziemnomorskiemu, sprzyjającemu rozwojowi rolnictwa i hodowli, oraz bogactwom naturalnym (mangan, fosfory, kobalt) przedstawiają one dla Francji ogromną wartość gospodarczą. Toteż, odkąd na przełomie XIX-go i XX-go wieku rozciągnęła nad nimi swoje panowanie, jak najskuteczniej wykorzystywała je dla swoich gospodarczych celów. Jednym z przejawów tej polityki była masowa imigracja Francuzów, wyrażająca się w latach dwudziestych liczbą około 40 000 osób rocznie. W przeważającej części był to element składowy dający się ludzi, którzy przyjeżdżali tam po to, by przez rabunkową gospodarkę w krótkim czasie zrobić majątek i powrócić do ojczyzny. Postępowanie to znajdowało pełne poparcie władz, wyrażające się m. in. zupełną swobodą gospodarczą i brakiem jakiegokolwiek podatku dochodowego. Jest rzeczą jasną, że polityka taka hamowała rozwój gospodarczy kraju, którego korzyści i tak zarezerwowane były przede wszystkim dla burżuazji francuskiej.

Nielepiej przedstawiała się sytuacja na odcinku życia społecznego. Do szkół powszechnych uczęszczał tylko nikły procent dzieci tubylczych (w 1947 roku w Maroku 8%), liczba zaś tubylczych uczniów w szkołach średnich wyrażała się zaledwie w setkach. Nie trzeba oczywiście dodawać, że równocześnie 100% dzieci francuskich w Maroku korzystało z wykształcenia podstawowego i ogromny procent ze średniego. Niemniej

charakterystyczne są cyfry dotyczące służby zdrowia. Otóż czterystoosobowa francuska ludność Maroka obsługiwana jest przez kilkuset znanych lekarzy, natomiast leczenie 8 milionów ludności tubylczej znajduje się w rękach 200 lekarzy należących do państwowej służby zdrowia — a więc 1 lekarz na 40 000 ludzi. A Francja lubi podkreślać swoją rolę cywilizacyjną w koloniach.

Chociaż scharakteryzowane tutaj

Jan PILSKI

ba, że walka ta początkowo rozgrywała się na gruncie legalnym. Dopiero jej fiasko i spowodowane tym napięcie stało się bezpośrednim po-



Czy wiesz:

że setki tysięcy Marokańczyków żyje w szalaszach skleconych z drzewa i z obrzydliwych puszek od konserw, w warunkach higienicznych urągających cywilizacji XX wieku?

że w mieście baraków Ben Msik, położonym w pobliżu Casablanki, jedna studnia musi obsłużyć 50 tysięcy mieszkańców?

że na półtora miliona dzieci w wieku szkolnym tylko 120 tysięcy uczęszcza do szkół?

że jedno słowo właściciela lub dyrektora fabryki wystarczy, aby wciągnąć robotnika do więzienia?

że niesłychanie niski płacnym robotnikom marokańskim odmawia się obecnie prawa zrzeszania się w związkach zawodowych?

że władze francuskie bez żadnych podstaw więżą czolowych działaczy wyzwolenczego ruchu marokańskiego i że w ostatnim czasie zdelegalizowały dwie najbardziej wpływowe partie: Marokańską Partię Komunistyczną i partię Istiqlal?

w nadmiernym skrócie stosunki społeczno-gospodarcze panujące w północno-afrykańskich posiadłościach Francji są niewątpliwie w ostatniej instancji przyczyną trwającej tam obecnie walki wyzwolenczej ludności tubylczej, to jednak pamiętać trze-

wodem nowego wybuchu „wulkanu afrykańskiego“.

Poprzedzająca ostatnie wypadki, a trwająca zresztą do chwili obecnej akcja polityczna jest o tyle interesująca, że z jednej strony akazuje walkę narodów Maroka i Tunisu,

z drugiej zaś uwidatnia rzeczywiste cele i metody francuskiej polityki kolonialnej. Przejdźmy do szeregów jej omówienia.

Wpływy Francji w Maroku datują się od początku bieżącego wieku. Mianowicie w 1904 roku Francja podpisała tajny układ z Anglią, gwarantujący jej „wolną rękę“ w Maroku. Postanowienia tego traktatu uznane zostały przez inne państwa na konferencji w Algierasie w 1906 roku oraz w osobnym układzie z Niemcami z 1911 roku. W 1912 roku sułtan Maroka zwrócił się do Francji z prośbą o pomoc wojskową w wojnie przeciwko Berberom. Przy okazji udzielenia żądanej pomocy Francja okupowała Maroko. Ten stan rzeczy został zalegalizowany traktatem podpisanym w Fezie 20 maja 1912 roku, który do dzisiaj stanowi prawną podstawę władzy francuskiej w tym kraju. Na mocy tego traktatu Francja obejmowała protektorat nad Marokiem i uzyskała tam, praktycznie rzecz biorąc, pełną władzę polityczną. Sułtanowi, którego władza na skutek zamieszek wewnętrznych była już przedtem poważnie osłabiona, pozostawiono pewne prerogatywy jedynie w dziedzinie religijnej.

Pierwszym francuskim rezydentem generalnym mianowany został w 1912 roku gen. Lyautey, który dzięki zręcznej polityce (m. in. przez utrzymanie oficjalnej, aczkolwiek bezsilnej władzy sułtana) potrafił utrzymać niezakłócone panowanie Francuzów. W 1921 roku wybuchło jednak powstanie Abdel Krima skierowane przeciwko władzy francuskiej, lecz zostało krwawo stłumione w 1926 roku. Po ustąpieniu Lyauteya klimat polityczny znacznie się zaostriżył. Zatrzymany częściowo został postęp gospodarczy kraju, rozpoczęła się masowa imigracja Francuzów, a wraz z nią szeroko zakrojona gospodarka rabunkowa.

Na gruncie politycznym władza Francuzów była niepodzielna. Para-

waniem dla niej była osoba sułtana, który przed objęciem przez Francję protektoratu sprawował władzę absołutną. Przez przejście całej jego władzy i utrzymanie jego oficjalnego stanowiska Francja zabezpieczyła się przeciwko konieczności wprowadzenia jakichkolwiek reform demokratycznych, mogąc w każdej chwili odwołać się do tradycji politycznej kraju. Niemniej jednak zawsze oficjalnie twierdzono, że celem protektoratu jest zapewnienie rozwoju tubylców, tak aby jak najszybciej przejąć mogli pełną władzę w swoje ręce. Jednakże przez 40 lat istnienia protektoratu nie uczyniono najmniejszej próby stworzenia jakiegokolwiek reprezentacji parlamentarnej.

Według oficjalnych deklaracji pochodzących z Paryża, Francuzi w Maroku jedynie pomagali tubylcom w sprawowaniu władzy. W rzeczywistości jednak istnieje inna sytuacja. Zaledwie 9% stanowisk w administracji obsadzonych było przez Marokańczyków. Fakt ten tłumaczono niskim poziomem umysłowym i cywilizacyjnym Marokańczyków. Przytoczone wyżej cyfry dotyczące szkolnictwa wskazują, co uczyniono, by poziom ten podnieść. Jednak pod wzmagającą się presją opinii marokańskiej zdobyła się Francja na wspaniałomyślny gest i w 1950 roku utworzyła szkołę administracyjną dla tubylców z miejscem na 60 uczniów(!)

Wobec takiego nastawienia władz francuskich nie mogła nas zaskoczyć ograniczenia nałożone na życie polityczne i opinię publiczną w Maroku. Przede wszystkim wymienić wśród nich trzeba brak jakiegokolwiek wybieralnych przedstawicieli tubylców. Wynika to już zresztą z samego systemu zarządu tej kolonii pozbawionej wszelkiego samorządu. Dalej istnieje formalny zakaz zgromadzeń i publicznych dyskusji politycznych, nie mówiąc już o wystąpieniach antyfrancuskich. Tę drożliwość władz francuskich charakteryzuje dobrze zdarzenie, które miało miejsce 14 października 1950 roku. Otóż w czasie zebrania utworzonej w tymże roku Conseil du Gouvernement rezydent generalny gen. Juin zmusił do opuszczenia sali jednego z przedstawicieli tubylców, który omawiając sprawę czysto techniczne (budżet robót publicznych) wygłosił, jak stwierdza oficjalne oświadczenie, „demagogiczne“ przemówienie natury politycznej, w którym wypowiedział się przeciwko pobytowi Francuzów w Maroku. Takie postępowanie Francuzów, jak w wypadku gen. Juin, nie przynosi nie wątpliwie zaszczytu francuskiej tradycji parlamentarnej i daje świadectwo „liberalnej“ polityce w koloniach francuskich.

O skuteczności cenzury prasy świadczy fakt, że w czasie ostatnich zamieszek, jakie miały miejsce w Maroku, jedynymi gazetami na świecie, które o nich nie wspomniano, były właśnie gazety marokańskie. Cenzura poddawane były nawet przemówienia min. Schumana dotyczące Maroka. Wspomnieć tu jeszcze warto opatrzone sankcją karną przepis, zakazujący tubylcom należenia do związków zawodowych.

**P**OWAŻNYM ilościowo, zorganizowanym ciałem reprezentującym tubylcze tendencje narodowo-wyzwolencze była, powstała w latach trzydziestych, Partia Akcji Marokańskiej. Jej twórca Allal el Fassi został jednak w krótkim czasie zaareztowany przez władze francuskie. Mimo to partia ta zyskała szybko duże znaczenie; obecnie nosi ona nazwę Istiqlal (Niezależność). Odegrała ona bardzo poważną rolę w czasie ostatniego kryzysu w Maroku i to właśnie skłoniło władze francu-

## Lud marokański walczy

**J**EST dzisiaj rzeczą zupełnie jasną, że Francja, a właściwie dokładniej rząd francuski, który, niestety, działa w imieniu Francji, zdecydował się już na określoną politykę w stosunku do narodów Afryki Północnej. Nazywa się ją polityką „silnej ręki“, w rzeczywistości jest to polityka gwałtu i represji, która pod płaszczykiem zupełnie fikcyjnych i nie nie znaczących reform pomija kompletnym milczeniem najbardziej słuszne żądania narodów afrykańskich.

Na rezultaty tej polityki nie trzeba było długo czekać. Ludy Tunisu, Algieru i Maroka jawnie protestują przeciwko krwawemu uciskowi, jaki stosuje rząd francuski, i domagają się przywrócenia ich krajom całkowitej suwerenności, jedynie bowiem zrzucenie systemu kolonialnego może przynieść im prawdziwe wyzwolenie narodowe i społeczne.

Postępowy społecznie, katolicki dwutygodnik francuski „La Quinzaine“ wiele miejsca poświęca problemowi afrykańskiemu. Dla redakcji tego pisma nie ulega wątpliwości, że dni panowania francuskiego w Afryce są już policzone. Nie pomogą represje ani polityka „silnej ręki“; ludy afrykańskie wkrótce zrzucą swe jarzmo i wejdą do wielkiej rodziny wolnych narodów. Redaktorzy „La Quinzaine“ pragną uświadomić naród francuski o prawdziwej sytuacji w Maroku, o tym, że lud marokański ma prawo do życia i rozwoju bez ulegania uciskowi kolonialnemu burżuazji francuskiej.

Pragnąc oświetlić te zagadnienia jak najbardziej bezstronnie „La Quinzaine“ opublikowała szereg wypowiedzi czelowych działaczy afrykańskich. Niezmiernie interesujący jest wywiad udzielony korespondentowi tego pisma, Michałowi Brice, przez M. Rouabida, członka Komitetu Centralnego partii Istiqlal, który równocześnie jest redaktorem naczelnym pisma „Al Istiqlal“, głównego organu tej partii. Początki ruchu „Istiqlal“ sięgają roku 1930, kiedy to ukazał się oświadczenie „Dahir Berbere“. Był to dekret narzucony sułtanowi przez Francuzów. Miał on na celu podporządkowanie ludności berberyjskiej władzy sułtana. Francuzi pragnęli w ten sposób podnieść antagonizm między Berberami a Arabami i dzięki temu mocniej ugruntować swą władzę. Reakcja ludności tubylczej przeciwko dekretem była bardzo silna. Z niej to właśnie narodził się narodowy ruch marokański, którego częścią jest m. in. partia „Istiqlal“.

A oto niektóre fragmenty wywiadu:

*Czy mógłby pan choć w skrócie zapoznać nas z programem partii Istiqlal?*

Celem naszym jest przede wszystkim walka o taki rząd, który cieszyłby się zaufaniem narodu i który byłby w stanie przejąć z rąk Francuzów administrację całego kraju.

*Czy partia Istiqlal ma również jakiś program społeczny?*

Muszę przyznać, że nasz program społeczny nie jest ściśle określony. W tej chwili wszystkie nasze siły pochłania walka mająca na celu obalenie systemu kolonialnego. Zresztą w Maroku, na obecnym etapie, walka o wyzwolenie narodowe jest nierozłącznie związana z walką o sprawiedliwość społeczną. Wyrazem tego jest na przykład fakt, że postępowe związki zawodowe C.G.T., w szeregach których zresztą znajduje się wielu członków naszej partii, w programie swoim obok walki z uciskiem społecznym jako główny cel stawiają obalenie protektoratu.

*Czy w Maroku nadal istnieje anta goniźm między Arabami i Berberami?*

Rząd francuski od roku 1930 bezustannie sztucznie starał się wyeliminować przeciwieństwa istniejące między tymi dwoma narodami. Polityka ta jednak, sztyta bardzo grubymi nićmi, nikogo nie jest już w stanie wprowadzić w błąd. Obecnie w Maroku Arabowie, Berberowie, Maurówie i Sudańczycy żyją w jak najprzyjaźniejszych stosunkach. Mnie samemu trudno byłoby powiedzieć, czy czują się Arabem czy Berberem. Większość członków partii Istiqlal rekrutuje się spośród Berberów, ale dzieje się to tylko dlatego, że w Maroku jest po prostu więcej Berberów niż Arabów. Oczywiście, że pewne różnice etniczne istnieją, są one jed-

M A R

Opracowała  
I. Kopeć



## FIASKO LEGALIZMU W PÓŁNOCNEJ AFRYCE (1)

## O K O

kie do jej zdelegalizowania w grudniu ub. r. wraz z Marokańską Partią Komunistyczną.

Istotnym czynnikiem w francuskiej polityce w Maroku było wyobryzwanie różnic pomiędzy Arabami i Berberami. Ci ostatni byli pierwotnymi mieszkańcami kraju, lecz w VII wieku naszej ery kraj ich opanowany został przez Arabów. Obecnie stanowią oni ludność wiejską, zamieszkałą przede wszystkim w górzystych okolicach kraju. Ich poziom cywilizacyjny jest daleko niższy, przy czym zachowali oni w znacznym stopniu pierwotny ustrój, plebejny. Dlatego też są oni elementem konserwatywnym o słabym uświadomieniu narodowym i politycznym. Arabowie natomiast, osiadli przede wszystkim w miastach i na wybrzeżu, stojący na znacznie wyższym poziomie cywilizacyjnym, są elementem bardziej rzutkim, bardziej wyrobionym politycznie, dążącym w sposób zdecydowany do jedności narodowej i do uzyskania niepodległości. Mimo jednak tysiącletniej wspólnej historii, wspólnej roli i wspólnej kultury, pewne antagonizmy pomiędzy tymi dwoma odłamami ludności jeszcze istnieją. W myśl starej maksymy „divide et impera” są one sztucznie podniecane przez władze francuskie. Co więcej, są one podawane jako jeden z powodów niemożności przyznania Maroku pełnej niezależności.

Wywołany ostatnią wojną wzrost naszkicowanych tutaj napięć zaniepokoił władze francuskie do tego stopnia, że postanowiły one w ostatnich latach, dla zamydlenia oczu, wprowadzić pewne, nie w praktyce nie znaczące, reformy ustrojowe. Pierwszą z nich było powołanie tzw. Conseil du Gouvernement. Zbiera się ona dwa razy do roku na 5 dni i posiada głos doradczy i to jedynie w sprawach budżetowych. Składa się z dwu obradujących osobno części: francuskiej i tubylekiej. Wbrew pozorom nie stanowi ona jednak załączka jakiegoś parlamentu, gdyż większość członków sekcji tubylekiej powoływana jest przez Rezydenta Generalnego, a tylko 11 pochodzi z wyboru. Jednakże pomimo presji tu bylczy głosowali zawsze na ludzi o znanych sympatiach narodowo-wyzwoleńczych, którzy wskutek tego nie cieszyli się nigdy zaufaniem władz francuskich, co ostatecznie wyraziło się w czasie ostatniego kryzysu pozabawieniem ich przez gen. Juin man datów.

Wspominany wielokrotnie kryzys, przejawiający się przede wszystkim w ruchach ulicznych w miastach marokańskich, w strajkach i w gwałtownym wzroście napięcia politycznego, przyspieszony został niepoważnym daniem wizyty w Paryżu sułtana Maroka. W październiku 1950 roku sułtan udał się do stolicy francuskiej, chcąc przy okazji kurtuazyjnej wizyty przedstawić i przedyskutować z rządem francuskim pewne zasadnicze reformy ustrojowe w Maroku.

Propozycje jego zmierzały przede wszystkim do przyznania Maroku niezależności wewnętrznej i utworzenia tubylekiego rządu tymczasowego dla prowadzenia dalszych rozmów z rządem francuskim. Propozycje te jednak zostały przez rząd francuski pominięte całkowitym milczeniem, w związku z czym nie doszło również do żadnych oficjalnych dyskusji na ten temat.

Rok 1951 charakteryzuje się w stosunkach francusko-marokańskich półoficjalnymi rozmowami na temat reform konstytucyjnych i coraz częstszymi demonstracjami ludności tubylekiej. Prowadzone rozmowy były jednak raczej jałowe, a to z powodu zasadniczych rozbieżności w podstawowych założeniach obu stron. Pierwszym żądaniem strony maro-

kańskiej pozostało przyznanie temu krajowi pełnej niezależności, natomiast przedstawiciele władz francuskich kurczowo trzymali się traktatu fezkiego jako jedynej i według nich niewzruszalnej podstawy stosunków francusko-marokańskich, proponując jedynie wprowadzenie pewnych zmian w zakresie organizacji władz kolonialnych.

Sprawa nabrała znowu szerszego rozgłosu, kiedy w marcu ub. r. sułtan przekazał rządowi francuskiemu oficjalną notę, streszczającą przebieg dotychczasowych rozmów, w której stwierdzał, że działa „zgodnie z poziomem politycznym osiągniętym przez lud Maroka, z jego pragnieniem wolności oraz z ideologicznymi i innymi zmianami, które zaszły w świecie od końca ostatniej wojny”. Równocześnie wyrażał w niej żal, że nie zostało to zrozumiane przez rząd francuski, który proponowane reformy sprowadził do nic nie znaczących zmian administracyjnych. Dalej podkreślał on ponownie, że „najlepsze rozwiązanie problemu marokańskiego polega na nowym określeniu stosunków francusko-marokańskich, zapewniającym Maroku pełną suwerenność, Francuzom zaś ich uzasadnione prawa, w ramach owocnej współpracy pomiędzy Francją a Marokiem w dziedzinie gospodarczej, kulturalnej i politycznej”.

Odpowiedź francuska opublikowana została dopiero 17 września tegoż roku. Przedstawione są w niej proponowane przez rząd francuski reformy. Wśród nich najważniejszymi są: 1) utworzenie pochodzących z wyboru dżem (plemienne wiejskie rady Berberów) w okręgach wiejskich i mieszanych w stosunku 1 : 1 francusko-marokańskich rad miejskich; 2) przyrzeczenie wprowadzenia reform w zakresie ustawodawstwa karnego, cywilnego i handlowego; 3) zgoda na wysunięte przez sułtana żądanie wprowadzenia do administracji młodych Marokańczyków; 4) wydanie uroczystej deklaracji dotyczącej zasad przyjacielskie-

go związku pomiędzy Marokiem i Francją, jednakże bez kwestionowania podstawowych zasad traktatu fezkiego.

Na marginesie tych propozycji podkreślić trzeba, że wymienione w punkcie 1. dżemmy są organami właściwym Berberom, opierającymi się na ich organizacji plemiennej, wskutek czego nie odpowiadają wymogom nowoczesnego samorządu ani nie są załączkiem jakiejś demokratycznej tubylekiej instytucji. Nie trzeba również podkreślać, jak rażąca niesprawiedliwością byłoby przyznanie Francuzom, stanowiącym 5% ludności i to jeszcze w większości wypadków nie posiadającym nawet obywatelstwa marokańskiego, reprezentacji w radach miejskich równającej się ilościowo reprezentacji tubyleców. Brak jakiegokolwiek proporcji pomiędzy pozostałymi propozycjami a żądaniami ludności marokańskiej rzucą się w oczy. Nic więc dziwnego, że w swojej odpowiedzi z 3-go października sułtan wyraził „głęboki żal” z powodu odrzucenia przez rząd francuski jego propozycji i stwierdził, że projekty francuskie zmierzają do zachowania „podziału suwerenności” w Maroku, przejawiającej się dominującym udziałem Francuzów w administracji kraju.

Ponownemu zaostrzeniu sytuacji w Maroku dały początek wypadki, które w dniach 7-8 grudnia miały miejsce w Casablance. Otóż z okazji generalnego strajku protestacyjnego, ogłoszonego z powodu zamordowania przywódcy tuniżyjskich związków zawodowych, rozpoczęły się masowe demonstracje ludności tubylekiej. Udział w nich wzięło łącznie około 15.000 osób, a wymierzone one były przede wszystkim przeciwko panowaniu Francuzów w Maroku. Tłumy demonstrantów usiłowały wdrzeć się do dzielnicy francuskiej, następnie zaś zaatakowały kilkakrotnie posterunki policji. Wobec brutalnej akcji policji, po obu stronach zostało zabitych kilkanaście osób.

Demonstracji tych użyły władze francuskie jako pretekstu do zde-



legalizowania zarówno partii „Istiqlal”, jak i Komunistycznej Partii Maroka. Motywując tę decyzję stwierdzono, że partie te stanowiły zagrożenie dla porządku publicznego, a ponadto, że powstały one i działały z naruszeniem obowiązującego ustawodawstwa. Równocześnie zaarrestowano 40 przywódców „Istiqlal” i 14 przywódców Partii Komunistycznej, przy czym z wyraźną radością władze stwierdziły, że partie te zupełnie pozabawione zostały tą drogą kierownictwa.

Nie bez wpływu na przyszły rozwój wypadków w Maroku będzie niewątpliwie fakt, że sprawa ta dyskutowana była na ostatniej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. I chociaż uchwalona w tej sprawie rezolucja jest bezbarwna, to jednak sam fakt jej uchwalenia przynosi w pewnym sensie całą sprawę na płaszczyznę międzynarodową. W każdym jednak razie przebieg wypadków ostatniego roku wskazuje, że marokański lud jest zdecydowany wyzwoleć się za wszelką cenę spod władzy francuskiej. Walka ludu marokańskiego jest bowiem częścią wielkiego zrywu narodowo-wyzwoleńczego ludów uciskanych przez kolonializm. Walka ta trwa i trwać będzie i mimo wszelkie trudności i przeszkody prędzej czy później doprowadzić musi lud Maroka do pełnego zwycięstwa. Taka bowiem jest logika historii, że prawo ludów do stanowienia o swoim losie musi wziąć górę.

• Zdjęcia C.A.F.

Ignacy RUTKIEWICZ

## Wymowa francuskiej ustawy z 18 lutego

Stwierdzenie, że w swym obecnym monopolistycznym stadium, system kapitalistyczny rodzi nieuchronnie ten typ reakcji społecznej, który określa się mianem faszystowskiej — od dawna już przyjęło się powszechnie. Dynamiczny rozwój ruchu robotniczego stwarza tak wielkie zagrożenie dla kapitalistycznego „ładu”, że rządy państw kapitalistycznych uciekają się do coraz to bardziej reakcyjnych i wręcz policyjnych metod rządzenia, pozbawiając najbardziej nawet naiwnych obywateli ostatnich resztek złudzeń co do swego liberalizmu i demokracji. W krajach Europy zachodniej notujemy nie tylko zjawisko odradzania się ruchów faszystowskich, ale, co więcej, zjawisko wyraźnej faszystyzacji samego aparatu państwowego i metod polityki wewnętrznej.

Francuska ustawa amnestyjna z 18 lutego r. jest dobitną ilustracją tej tezy. Jak wiadomo, tego dnia francuskie Zgromadzenie Narodowe przyjęło, bardzo zresztą wątpliwą większością głosów deputowanych partii prawicowych i mieszczkańskich, ustawę o amnestii dla alzackich przestępców wojennych.

W roku 1940 hitlerowcy uznali Alzację za integralną część Reichu, a Alzateczyków poczęto wciągać do Wehrmachtu. Tak więc Alzateczycy odziani w niemieckie mundury służyli museli swym śmiertelnym wrogom. Pozornie zatem ustawa z 18 lutego jest aktem rehabilitującym ofiary hitlerowskiej przemocy. Fakty dowodzą wszakże czegoś wręcz odwrotnego.

Kamieniem probierczym wartości moralno-ideowej ustawy z 18 lutego stała się sprawa procesu sprawców zbrodni w Oradour-sur-Glane. Dnia 10 czerwca 1944 r., w odwet za działalność francuskich maquisardów, jednostki dwuzłazki SS das Reich dokonały bestialskiej eksterminacji ludności tej wioski, przy czym ofiarą okrucieństwa SS-manów padło 647 osób, w tym 246 dzieci i starców, zmasakrowanych ogniem karabinów maszynowych lub spalonych żywcem w zamkniętym kościele. Cała wioska zniknęła z powierzchni ziemi. Wydarzenie dla nas, Polaków, niestety aż nazbyt dobrze znane — świadczy o tym dziesiątki spalonych wsi w Lubelszczyźnie. We Francji było to zdarzenie bodaj jedyne, stąd tym sil-

niej wstrząsnęło ono francuską opinią publiczną. Przed paru tygodniami przed trybunałem wojskowym w Bordeaux toczył się proces przeciwko 22 żołnierzom formacji SS, sprawcom zbrodni w Oradour.

W tym właśnie momencie, w parę zaledwie tygodni po wyroku trybunału w Bordeaux, wniesiono ustawę o amnestii dla alzackich przestępców wojennych. Pośród skazanych za zbrodnię w Oradour było 14 Alzateczyków, jednego z nich skazano na karę śmierci. Reakcyjna prasa nie omieszkała wykorzystać tej okoliczności i wolać o rzekomych skandalu sądowniczym w jednej ławie hitlerowców i Alzateczyków, przymusowo wcielanych do obecnej armii. Prawdziwy tym razem skandal polegał na tym, że po pierwsze skazani Alzateczycy byli żołnierzami formacji SS, do których mieli wstąpić jedynie ludzie absolutnie „nieposzlakowani” w opinii gestapo, po drugie — ich osobisty „wkład” w dzieło mordów i zniszczenia przewód sądowy ustalił ponad wszelką wątpliwość. Tak więc ich czynny kwalifikacja się wyrażnie jako akt zdrady własnego narodu. Wyrok trybunału w Bordeaux nie był przeto w najmniejszym stopniu przejawem zlekocważenia tragedii ludności Alzacji, zmuszonej przez okupanta do wdziwania munduru zniechęconej armii Hitlera, ale wręcz na odwrót — był aktem pięknym przestępstwa czynny renegata.

Wniesienie ustawy o amnestii dla alzackich przestępców wojennych niemal równocześnie z zakończeniem procesu w Bordeaux było wyraźną prowokacją w stosunku do tych wszystkich Francuzów, którzy nie splamili się kolaboracją z okupantem i uczestnicząc w ruchu oporu przyczyniali do wyzwolenia kraju spod przemocy hitlerowskiej. Ale nie trzeba się dziwić, że zbieżność obu tych wydarzeń w czasie miała coś przypadkowego. Nie ulega wątpliwości, że wynikała ona z nieubłaganej konieczności z tej sytuacji politycznej, w jakiej znajduje się dzisiaj Francja. Ustawa z 18 lutego posiada bardzo wyraźną i zupełnie jednoznaczną wymowę polityczną i ideologiczną. Ima polityki rządu francuskiego, od chwili jejścia komunistów do koalicji rządzącej w r. 1947, jest funkcją polityki Białego Domu

i Pentagonu. Osia kierunkową tej polityki jest przygotowywanie nowej awantury wojennej, która — w przekonaniu Amerykanów — zapewni im panowanie nad całym światem. Dla realizacji tego zasadniczego celu rządy krajów „atlantycznych” stawiają wszystkie środki. Ale perspektywa nowej wojny spotyka się z zasadniczym oporem coraz to szerszych kół społeczeństw. Rządy „atlantyczne” zmuszone są szukać sojuszników, żywotnie zainteresowanych w popieraniu wojennego kursu w polityce. Są to w pierwszej linii wszelkiego pokroju ruchy faszystowskie. Tak więc forsują się na szeroka skalę puzczenie w niepamięć przewin kolaborantów, aby za tę cenę pozyskać ich dla prowadzonej przez siebie polityki przygotowań wojennych.

Jak już wspomniano, mamy tu do czynienia nie tylko ze „spontanizmami” ruchami faszystowskimi, ale wręcz ze zjawiskiem faszystyzacji aparatu rządowego. Do udziału w rządach są zapraszani jawni faszyci czy niedawni kolaboranci. Głośny był skandal z ministrem Boutemy, kolaborantem winnym śmierci wielu patriotów francuskich w latach okupacji, żeby już nie mówić o powierzaniu teki premiera niewątpliwemu kolaboracyjnemu, jakim był Pinay. Oblicze praworządności w państwach „atlantycznych” nabiera coraz to więcej cech reżimu policyjnego, a metody szycan made in F.B.I. wobec działaczy postępowych są szeroko stosowane.

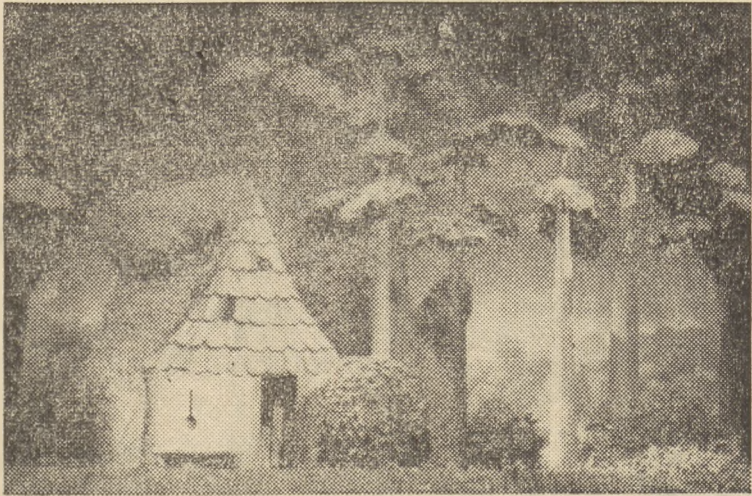
W świetle tych faktów wręcz prowokacyjna ustawa amnestyjna z 18 lutego stanowi bardzo dobitny dowód, dokąd prowadzi kraj i naród francuski polityka oddanych Waszyngtonowi ministrów. Rozbieżność ich celów z celami i dążeniami podstawowej masy narodu francuskiego dostrzegli zresztą nawet tak reakcyjni pisarze, jak np. znany amerykański komentator polityczny Walter Lippman, który rok temu pisał w New York Herald Tribune: „ci ministrowie (zachodnio-europejscy — I.R.), którzy mówili nam tyle przyjemnych rzeczy i podpiswali tyle papierków, mówili tylko od nich żądali, wyzbywali się jednocześnie coraz bardziej poczucia bezczelności z własnym narodem”.

I. Rut.



Antoni LUBKOWSKI

## »Igraszki z diabłem« w krakowskiej »Grottesce«



Dekoracja do aktu I (proj. J. Skarżyński)

„Powiadasz, żeś święty i nie ci na ludziach nie zależy?... Jestem ino grzeszny wódczuga, ale mi na ludziach zależy nie przestało. Hm.. możeś ty i święty... ale ludzki człowiek to ty nie jesteś, a to chyba też grzech“. Te, skierowane do faryzejskiego pustelnika, słowa Marcina Kabata — bohatera wystawianej przez krakowski Teatr Lalki i Aktora „Grotteska“ baśni Jana Drdy: „Igraszki z diabłem“ — charakteryzują dosadnie klimat całej sztuki.

Marcin nie ośmiela się sądzić, czy Scholastyk jest rzeczywiście święty, czy też nie. Nie zna się na teologii. Instynktownie czuje jednak ogrom grzechu przeciwko miłości bliźniego. Lata służby w dragonach, spędzane raz na wozie, raz pod wozem, wyrobiły w nim poczucie głębokiej łączności i solidarności z innymi ludźmi. Zna wartość człowieka i dlatego nie waha się udać nawet do piekła dla ratowania dwu zapisanych diabłu dusz.

Marcin jest człowiekiem z krwi i kości. Ma duże zalety jako mężczyzna śmiały i trzeźwy, ale ma i swoje ludzkie wady. Taką wadą jest choćby żylka do gry w karty, która powoduje fatalne przegranie przezeń

cyrografów na dwie dziewczęce dusze. Jest więc on w pewnym sensie odpowiedzialny za Kasię i Disperandę i ten fakt motywuje jego piekielną eskapadę.

Tej wysoce społecznej jednostce przeciwstawione są dwa typy ludzi, odgradzonych — każdy na swój sposób — od społeczeństwa. Zbój Sarka. Farka łupi bez litości przechodniów, aby zapewnić sobie wygodny i bezczynny tryb życia. Choć sumienie jego nie przestało jeszcze reagować na zło, przebywa on w lesie, hyle tylko nie być zmuszony do pracy. „Będę chyba musiał porzucić mój zawód“ — mówi on do Marcina Kabata. — „Jak byłem jeszcze młody, to nic: spałem jak kamień. A teraz to mi sumienie całkiem już spać nie daje. Rzucilibym ten podły rozbój, żebym inne utrzymanie gdzie znalazł“. Ale pod słowem „utrzymanie“ nie rozumie on pracy i gdy Marcin proponuje mu młynarstwo w Czarciem Młynie — Sarka-Farka wyśmiewa go.

Na drugim biegunie społecznej postawy znajduje się Scholastyk. Pycha i własna mniemana świętość przesłoniły mu człowieka, przesłoniły mu jego zadania wobec ludzi, właściwy chrześcijański do nich sto-

sunek. Jest on przykładem egoisty, opacznie troszczącego się o własne zbawienie, mającego tylko słowa potępienia dla błądzącego człowieka. „Kto piekła palce poda — nie wart ratunku“ — mówi Scholastyk, nie wiedząc nawet, jak sam jest bliski piekła. Niebo, na które pragnie sobie zasłużyć, to nie to samo niebo, do którego dostać się mają skruszeni grzesznicy: nie — Scholastyk jest pełen bezprzykładnej pychy. Ufność we własny rozum każe mu też traktować z góry dobrego Anioła Teofila, który pragnie ukazać mu bezmiar Bóżej miłosierdzia.

Talent pisarski uchronił autora „Igraszek z diabłem“ od przerysowania postaci tak Sarki-Farki, jak i Scholastyka. Resztki sumienia, kołaczące w duszy zbója i prawdziwa asceza pustelnika nadają im cechy realizmu. Jednak głęboko zakorzeniony faryzeizm Scholastyka nie pozwala na chwilowe choćby obudzenie dla niego sympatii: nawet jego konsekwentne samoudręczenie nie może spotkać się z najmniejszym uznaniem.

Sztuka Drdy — jak zwykle baśnie ludowe — jest utworem wielopłaszczyznowym. Na samym jej dnie, skryty pod pokładem komediowej akcji i humorystycznych postaci, można odnaleźć głębszy sens. Spośród trzech filozofii życiowych, reprezentowanych przez trzy główne postaci sztuki, jedynie „filozofia zdrowego rozsądku“ Marcina Kabata jest postawą humanistyczną. Przeciwnostawiają się jej zwyrodniała — i powiedzmy to, czego Drda nie mówi — nie mająca wiele wspólnego z prawdziwym chrześcijańskim ideałem ascezy postawa Scholastyka, regująca wartość nie tylko doczesnego świata, ale i człowieka jako tworu po części materialnego oraz wulgarny materializm (nie w sensie filozoficznym) leniwego zbója Sarki-Farki. Optymistyczna baśń Drdy kończy się całkowitym zwycięstwem humanizmu Marcina: i Scholastyk,

i Sarka-Farka muszą na tym świecie pokutować, obracając wespół ciężkie koło w Czarciem Młynie.

Na jeden jeszcze szczegół warto zwrócić uwagę. W akcji scenicznej biorą udział przedstawiciele nieba i piekła. Jednakże niebo postawia człowiekowi wolność kształtowania swego losu, a piekło nie potrafi złać człowieka. W rezultacie jest on w pełni odpowiedzialny za swe czyny i choć niebo czuwa nad nim (po bohaterkiej decyzji Kabata zjawia się natychmiast na scenie Anioł Teofil z orszakiem aniołków), winien

sów ludzkich i za nie odpowiedzialnej. Można więc powiedzieć, że insecyzację krakowską cechuje duży realizm.

Pewne zastrzeżenia budzą jedynie potraktowanie przez reżysera postaci Belzebuba: przerysowane przez autora sztukę jej groteskowe cechy uwypuklone zostały w sposób rażący. W rezultacie postać władcy piekieł przestaje być dla widza zrozumiała.

Zarówno dekoracje Jerzego Skarżyńskiego, jak i lalki projektowane przez Lidę Minticz stoją na bardzo wysokim poziomie artystycznym.



Marcin Kabat i Kasia (proj. Lidia Minticz)

Zdjęcia J. Wolski

walkę przeciw złu prowadzić sam. Bóg pomaga temu człowiekowi, który stara się całego siebie poświęcić walce o dobro.

Pozostałe postaci sztuki potraktowane są już tylko humorystycznie. Wyjątek stanowią Anioł Teofil, będący jakby nadprzyrodzonym usankcjonowaniem postępowania Kabata. Świat piekielny — zgodnie z tradycją ludową — przedstawiony jest z humorem. Głupie, bardzo antropomorficzne diabły Drdy nie mają w sobie niczego z szatanów Bernanosa. Piekło jest monarchią, rządzoną formalnie przez zramolatego Belzebuba, a faktycznie przez dwie wrogie partie: konserwatywną z drem Bellelem i radykalną z drem Solfernusem na czele. Autor przedstawia widzowi cały wachlarz diabłów, wśród których drobniawo przestrzegane są stopnie hierarchiczne — od wspomnianych potentatów, poprzez „Czarta I kategorii z dyplomem wyższej szkoły internalnej“, aż do śmiesznych, głupawych, wiejskich diabłków.

Niezawiała akcja — tocząca się wokół dwu skorych do żeniaczki dziewcząt, które swe dusze zapisały piekłu w zamian za upragnionych mężów — jest też groteskowa.

Krakowska inscenizacja wydobyla z „Igraszek“ cały kolorystyczny świat. Reżyser sztuki (Władysław Jarema) pokazał nam widowisko, które bawi swym ludowym humorem i uczy — zdrowym rozsądkiem. Wszystkie postaci potraktowane są z odpowiednim umiarem (wyjątek stanowią władcy piekielni) wskutek czego „Igraszki z diabłem“ są nadal baśnią, kryjącą w sobie głęboki morał, a nie tezą przebraną byle jak w ludowe kształty. Władysław Jarema podkreślił też humanistyczne tendencje sztuki: ośrodkiem akcji jest walka dobra ze złem — walka ta przebiega jednak wewnątrz duszy człowieka, istoty zależnej od społeczeństwa, ale także mającej ogromny wpływ na kształtowanie się lo-

Najlepsza jest dekoracja do pierwszego aktu — Chatka Zbója. Warto również podkreślić doskonałą ruchomość lalek — Marcin Kabat znakomicie potrafi się przeżegnać, a i o buszkim manewruje bez najmniejszego trudu.

Największy zachwyt widowni budzą jednakże aniołki — orszak Anioła Teofila. Natomiast ich antagoniści — wsiowe diabły Omnimor i Karborund — swymi pokracznymi sylwetkami, zapalem do gry w diabelskiego mariasza i formalistycznym podejściem do wykonywanej pracy wywołują salwy śmiechu.

Muzykę prof. Kazimierza Meyerholda można by nazwać muzyką użytą kową. Małeńki mieszany zespół instrumentalny w delikatny sposób podrysuje ważniejsze momenty sztuki. Na tle jednak doskonałego, w pewnym sensie odkrywczego spektaklu muzyka ta wypada dość blado.

Przedstawienie „Igraszek z diabłem“ — tej baśni dla dorosłych — jest szczytowym osiągnięciem krakowskiej „Grotteski“. Z niecierpliwością czekamy na następną sztukę.

Przy omawianiu sztuki Drdy należy jedno wyraźnie zaznaczyć. Sztuka ta napisana została z pozycji humanizmu antropocentrycznego i trudno czynić autorowi z tego powodu zarzut, skoro nie jest on katolikiem. Pewne miejsca „Igraszek“ mogą się wydać widzowi będącemu katolikiem rażące i na pewno inaczej, głębiej widzieć on będzie wpływ nadprzyrodzoności na życie człowieka, niż to ukazuje Drda przez postaci niektórych bohaterów swej sztuki. Podzielać jednak będziemy krytykę faryzejskiej obudy i nader bliski nam również będzie klimat humanistycznej troski o sprawy człowieka, dla której to troski życie nadprzyrodzone nie jest przeszkodą, lecz pogłębieniem, upełnieniem. Można, wydaje się, stwierdzić też, że Drda za groteskowymi sytuacjami i humorystycznym kolorytem poruszając problem tak właśnie szczególnie dla katolika ważne, ustrzegł się niebezpieczeństwa łatwego generalizowania i krytykując faryzeizm uostaciowany tu w pustelniku, nie nadał swej sztuce klimatu antyreligijnego. Zastępuje to na szczególną uwagę, jeśli się zwróci na pozycję wyższości autora. Widzowi zaś będącemu katolikiem każe patrzeć na problematykę tej miłej i ciekawej sztuki — owsem, niebnie i gwałtem — ale też bez żadnego fanatyzmu i uprzedzenia zniekształcającego jej istotne walory moralne. (Dop. Red.)

## Ś.p. Karol Badecki

HUMANISTYKA polska w ciągu ostatnich miesięcy doznała kilku bolesnych strat: po H. Mościckim, J. Janowim, J. Muszkowskim odszedł 10 lutego br. K. Badecki, kustosz Biblioteki Jagiellońskiej, profesor tytularny U. J., w roku 1950 — laureat państwowej nagrody naukowej II stopnia w dziale humanistyki „za całokształt działalności bibliograficznej i edytorskiej w zakresie literatury mieszczańskiej XVII wieku i wydobycia na jaw postępowego nurtu w literaturze tego okresu“.

Karol Józef Badecki urodził się we Lwowie 28 stycznia 1886 roku, jako syn Szymona Tadeusza i Teofili z Buczków. Studia średnie odbył w latach 1896—1904 w V i VI gimnazjum we Lwowie, wyższe — w latach 1904—9 na wydziale filozoficznym Uniw. Jana Kazimierza, gdzie pod kierunkiem prof. Józefa Kallenbacha i Wilhelma Bruchnalskiego oddał się studiom polonistycznym. Dysertacja doktorska nt. „Jan Rybiński, poeta polski XVI w., żywot i dzieła, z przydataniem wiadomości o innych Rybińskich“ (1912) — całkowicie określa charakter jego zainteresowań historyczno-literackich. Badać będzie nie literaturę klas posiadających, lecz literaturę upośledzonych klas społecznych.

W latach 1910—14 Badecki pełni obowiązki nauczyciela, zrazu w VII Gimnazjum Realnym, następnie w III i IV Gimn. we Lwowie. Od 1910 roku, na wzór „Biblioteki Pisarzy polskich“ Akademii Umiejętności, organizuje nakrętnie wydawnictwo „Białe Kruki“, którego celem było wyzstępienie szerszemu ogółowi, — znodernizowanych przedrukach wiernych odtworach homograficznych, ciekawszych utworów okresu VI—XVIII w. Niestety, w wydawnictwie tym, przerwanym na skutek wybuchu wojny, ukazały się tylko wa tomiki: „Lament chłopski na pany“ opracowany przez J. Kallenbacha i „Przygana wymiślnym strojem białogłowskim“ P. Zbylitowskiego, wydana przez K. Badeckiego. Je-

dnocześnie w „Bibliotece Pis. Pol.“ A. U. ogłasza Badecki wzorową edycję Pism Jana Dzwonowskiego (1608—1625) oraz „Walną wyprawę do Wołch ministrów na wojnę“ (1617).

W roku 1914 pracuje w Archiwum Akt Dawnych we Lwowie i w podległych mu instytucjach biblioteczno-muzealnych; m. in. zbiera pamiątki i dokumenty wojenne; rozszerza, reorganizuje i do nowożytnych potrzeb naukowych przystosowuje archiwum miejskie; odrębne dla siebie dotąd księgozbiory miejskie łączy w jedną całość. Jest kolejno mianowany: w 1916 r. archiwariuszem II klasy, dwa lata później — I klasy, w 1920 roku — wicedyrektorem i w 1927 — dyrektorem Archiwum Akt Dawnych Biblioteki i Muzeum Historycznego m. Lwowa. Z archiwum tego wydobywa i ogłasza ważne materiały i dokumenty do dziejów kultury polskiej, jak „Księgi i akta administracyjno-sadowe 1382—1787“ (Lwów 1935), „Księgi rachunkowe (lonharskie) 1404—1788“ (Lwów 1936).

W latach 1916—1917, z ramienia Centralnej Komisji dla Ochrony Zabytków w Wiedniu i Polskiej Akademii Umiejętności, przeprowadza pierwszą w Polsce naukową inwentaryzację kościelnych i cerkiewnych dzwonnów zarekwirowanych na cele wojenne na terenie b. Galicji. W 1920 roku organizuje we Lwowie pierwszą u nas wystawę zbrojnicstwa ludwisarskiego, myśli o wskrzeszeniu świetnego ognia lwowskiego kunsztu ludwisarskiego. Jako owoc tych prac i badań archiwalnych powstają takie podstawowe rozprawy, jak „Średnowieczne ludwisarstwo lwowskie“ (1920), „Ludwisarstwo lwowskie za Zygmunta I“ (1921) czy „Dzwony starodawne sprzed r. 1600 na obszarze b. Galicji“ (1922). Za zasługi położone około badań nad dziejami ludwisarstwa w Polsce wybrany zostaje w r. 1921 członkiem Związku Historyków Sztuki w Krakowie, członkiem Dyrekcji Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie

W roku 1937 habilituje się z historii literatury polskiej na Uniw. J. Kazimierza, a w roku następnym rozszerza habilitację na dziedzinę archiwistyki i bibliografii. 17 czerwca 1938 r. zostaje wybrany na członka-korespondenta Polskiej Akademii Umiejętności, jest współpracownikiem Komisji Historii Sztuki, Historii Literatury Polskiej, Historii itd.

Szerszemu ogółowi dał się poznać jako świetny znawca tak zwanej literatury mieszczańskiej, której badania poświęcił bez mała całe swoje życie. „Słuchając słów prof. Kallenbacha o nieopracowanym dziale naszego piśmiennictwa XVII w. i literaturze popularnej tzw. mieszczańskiej — opowiadał kiedyś — zainteresowałem się tym zaradnieniem“. Wyrazem tych zainteresowań było m. in. (jeszcze na ławie uniwersyteckiej) 3-tomowe opracowanie wykładów profesora o dziejach literatury polskiej w XVII w., którą to pracę przyzdobził Badecki wykonany własnoręcznie podobiznami kart tytułowych rzadkich druków. Wyniki prowadzonych przez lat kilkanaście żmudnych badań w bibliotekach polskich i zagranicznych nie dały na siebie długo czekać. W roku 1925 ukazuje się pomnikowa monografia bibliograficzna „Literatura mieszczańska w Polsce XVII wieku“, szczegółowy opis 182 druków ocalałych i odnalezionych głównie przez autora, owoc iście benedyktyńskiej pracy. Następnie wydał 4 tomy tekstów: „Polska komedia rybałtowska“ (1931), „Polska liryka mieszczańska“ (1933), „Polska frazaska mieszczańska“ (1948), „Polska satyra mieszczańska“ (1950). Mimo pewnych zastrzeżeń, które do tych prac zgłasza specjaliści, można śmiało powiedzieć, że jest to dzieło fundamentalne, ukazujące nam po raz pierwszy lekceważony dotąd dział polskiej literatury plebejskiej zawierającej nieocenione skarby obyczajowe i językowe.

Zenon Filipkiewicz



Michał NOWACKI

# »Komuniści« Aragona

NIEDAWNA bytność w Warszawie wielkiego pisarza francuskiego, Aragona, skłoniła mnie do przeczytania zakończonej ostatnio pierwszej serii jego zakrojonej na wielką skalę powieści: „Komuniści”

Pisarze francuscy, zarówno dawni, jak i współcześni, chętnie tworzą wielkie cykle powieściowe, które dają szeroki obraz czasów ich pokolenia. Wystarczy wymienić z literatury klasycznej „Komedie Ludzką” Balzaca i Rougon-Macquartów Zola, a z czasów ostatnich „powieści - rzeki” (romans-fleuves) Martin du Gard, Duhamela, a zwłaszcza Jules Romainsa dwudziestotomowe „Les hommes de bonne volonté” (Ludzie dobrej woli).

Aragon, przeszedłszy w ostatnim dziesięcioleciu od poezji do prozy, równie postawowo dał szeroką panoramę życia Francji w pierwszej połowie naszego wieku. Dwa tomy tego cyklu, nazwanego przez autora „Le Monde réel” (Świat realny), znane są czytelnikom w Polsce z powojennych przekładów, na nieszczęście bardzo marnych: „Dzwony Bazylei” i „Piękne dzielnice”. Dwa dalsze „Les Voyageurs de l'impérial” i „Aurélien” nie zostały dotąd u nas wydane. A szkoda, bo zwłaszcza „Aurélien” jest doskonałą powieścią „Komuniści” \*) stanowią dalszy ciąg tego cyklu, powiązany przez wiele działających osób z poprzednimi powieściami. Aragon zamierzył dać w nim obraz Francji z czasów drugiej wojny światowej. Projektuje trzy serie: pierwsza

\*) Aragon — „Les Communistes” roman, 6 tomów. Paris 1949 — 1952. La Bibliothèque Française.

szesnastotomowa, objęła czasy luty 1939 — czerwiec 1940, dwie dalsze, jeszcze nie napisane, przedstawiają Francję podległą okupacji hitlerowskiej i wyzwolenie kraju (czerwiec 1940 — styczeń 1945)

Już dotychczas wydane tomy wystraszają do stwierdzenia, że powieść Aragona jest monumentalną Epoką pierwszą — tak nazwał ją autor — to przeddzień wojny, „zimnej wojny” i wreszcie wstrząsający obraz klęski, przypominający tak żywo naszą katastrofę wrześniową. Autor ujmuje w formie powieściowej historię swej ojczyzny w tych przełomowych chwilach. Robi to przesuując przed naszymi oczami całą galerię postaci z najróżniejszych sfer społecznych, których działalność, rozważania i dyskusje odsłaniają nam istotne stosunki społeczne i polityczne, jakie doprowadzić musiały do kapitulacji przed najeźdźcą hitlerowskim.

Powieść nie jest jednak tylko tragicznym bilansem. Cała zgnębiona i rozkładająca się, egoizm i klasowe zacietrzewienie warstw posiadających, nieudolność i zaślepienie dowódców wojskowych, szerząca się pod osłoną frazeologii patriotycznej zdrada interesów narodowych — wszystko to ma potężną przeciwwagę w wielkim patriotyzmie i ofiarności mas ludowych narodu francuskiego. Właściwym bohaterem książki są komuniści, którzy występują w niej jako najbardziej świadomi bojownicy sprawy narodowej zarówno przeciwko wrogowi zewnętrznemu, jak i wewnętrznemu, który poczuwał się do

solidarności z najeźdźcą hitlerowskim w walce z ruchami postępowymi własnego ludu.

Ogromną zaletą powieści Aragona jest uniknięcie stronniczości w przedstawienu tej sprawy przy jednoczesnym bardzo wyraźnym przeprowadzeniu tezy, że każdy uczył się Francuz siłą rzeczy dochodzić musiał do uznawania słuszności stanowiska komunistów i do popierania ich walki z faszystami zewnętrznym i wewnętrznym. Nie mamy u Aragona jednostronności w rozmieszczeniu światła i cienia. Są prawdziwi ludzie, żyjący i myślący.

Nie każdy ideowy przeciwnik komunizmu jest człowiekiem złym. Wielkim księży, którym ideały chrześcijańskie na kazywały ofiarne trwać na zagrożonych posterunkach, intelektualistów — którzy tkwiąc w kręgu pojęć mieszczańskich na własną rękę szukają dróg wyjścia z rozpaczliwej sytuacji.

Z drugiej strony wśród komunistów Aragona są też różni ludzie: odważni i tchórzliwi, bohaterzy i oportunisty, niezlomni i wahający się. Niektórzy popełniają poważne błędy i z trudem odnajdują właściwą drogę. Autor z całą wyrazistością przedstawia trudną dla komunistów sytuację na początku wojny. Wobec delegacji Partii, zakazu literatury komunistycznej i terroru policyjnego szeregowi komuniści musieli w własnym zakresie przystosowywać się do nowych warunków pracy podziemnej, pozostając czas jakiś bez wskazówek i wyjaśnień, jak ustosunkowywać się do rozrywających się wypadków

Aragon wspaniale zobrazował, jak przynajmniej większość komunistów francuskich wyszła zwycięsko z tego egzaminu. Potrafili oni połączyć ofiarną walkę z najeźdźcą hitlerowskim ze zwalczaniem własnego rządu, który pod osłoną frazesów o jedności narodowej w obliczu wroga — wykonywał przyjęte wobec faszystów niemieckich zobowiązania rozgromienia Francuskiej Partii Komunistycznej.

Najbardziej wymowne w powieści jest przedstawienie, jak poszczególne komunisty, pozbawieni łączności z władzami partyjnymi i rozproszeni bądź w wojsku, bądź w nowych warsztatach pracy, zdolali od razu znaleźć właściwą linię postępowania, odnajdywać towarzyszy, oddziaływać na otoczenie i wznowić od razu aktywną, konspiracyjną już działalność. Stało się to możliwe, gdyż ich zdecydowana postawa na rodową i dotychczasową walkę z rządem, którego kapitulanka polityka stała się już dla wszystkich widoczna, zyskiwały im sympatię i pomoc nie tylko pracujących, ale i szczerych patriotów spośród sfer burżuazyjnych.

To krzepnięcie Partii w podziemiu, promieniowanie każdego pojedynczego komunisty na otoczenie, stopniowe, ale stale krystalizowanie się świadomości najlepszych Francuzów, że tylko walka z faszystami wewnętrznym i zewnętrznym jest drogą zbawienia ojczyzny, stanowi nie przewidywaną pierwszego cyklu eposu o komunistach. Postawione sobie zadanie autor wypełnił wspaniale, kreśląc plastyczne, a czasem

wręcz patetyczne obrazy, zwłaszcza dni klęski i katastrofy.

Można by postawić Aragonowi zarzut, że nie panuje całkowicie nad kompozycją powieści i że popada w rozwlekłość. Cykl projektowany na cztery tomy rozrósł się w pracy autorskiej do sześciu grubych tomów. Pomimo ogromnej ilości wprowadzonych do akcji postaci, nie uważamy, żeby ich było za dużo. Dzięki temu otrzymujemy ogromną rozpiętość panoramy Francji w pierwszym okresie wojny. Natomiast rzeczywiście można by było skrócić nieraz przydługie rozważania i opisy epizodów wojennych, powodujące konieczność wielkiego natężenia uwagi dla niegubienia się w różnorodnych wątkach.

Minus ten okupiony jest natomiast wszechstronnością obrazu. Przed oczyma naszymi przewijają się najróżniejsze środowiska. Obok robotników, chłopów i inteligencji pracującej mamy polityków, wojskowych, finansistów, przemysłowców, intelektualistów, artystów, księży, studentów i młodzież szkolną, a to reprezentujących różne poglądy, a to reprezentujących różne poglądy. Mamy Paryż i prowincję, rząd i społeczeństwo, front i tyły, sztaby i armię walczącą. Obok postaci fikcyjnych, potrzebnych autorowi do konstrukcji fabuły, występują osoby autentyczne spośród ówczesnych kierowniczych działaczy Francji.

Jest bezwzględny plus pisarskiej metody Aragona, że dla zobrazowania strony politycznej i wojskowej pierwsze go roku wojny we Francji nie użył stwarzanych sztucznie „syntetycznych” postaci, lecz przewodził na kartach swej powieści ówczesnych ministrów, parlamentarzystów czy generałów, którzy dyskutują i tłumaczą omawiane wypadki. Zresztą widać, że autor przeprowadził gruntowne studia nad tym okresem historii Francji. Orientuje się świetnie w splotach sytuacji politycznej i w działaniach militarnych, dzięki czemu daje, może dla polskich czytelników za drobiazgowo, przedstawienie planów i poczynają kolejnych faz operacji wojskowej na frontach Belgii i Francji.

W ten sposób powieść jego graniczy wprost nieraz ze szkicem historycznym. Czytaliśmy wiele powieści, pamfletów i opracowań dotyczących tych czasów. Nigdzie nie znaleźliśmy jednak tyle materiału do zrozumienia rzeczy istotnej, a mianowicie atmosfery, która wtedy panowała, tego tak charakterystycznego podziału Francji na ludzi, którzy walczą i cierpią i na tych, którzy katastrofę wojenną uważali za kłamę dającą możliwość snucia na niej swych intryg i machinacji.

Autor jest komunistą i świadomie stawia postawę i walkę swych towarzyszy partyjnych. Najwięksi ideowi przeciwnicy komunistów francuskich nie mogą im odmówić palmy pierwszeństwa w walce z hitlerowskim najeźdźcą podczas ciężkich lat okupacji wojennej. Będzie to tematem następnych dwu cykli powieści Aragona o komunistach, których oczekujemy z zaciekawieniem. Omawiane obecnie tomy stanowią właściwie wstęp do tego tematu, wyjaśniający nam, że patriotyzm komunistów francuskich wiązał się ściśle z ich walką przeciwko reakcji o postępie i demokrację i o prawdziwą niezawisłość kraju.

Zbyt dużo u nas ludzi zna Francję tylko na podstawie literatury ulwarowej, przedstawiającej rzeczywistość w krzywym zwierciadle, lub z odgłosów i wiadomości prasowych na temat tamtychże skandali i zepsucia. Ale jest jeszcze inna Francja, Francja prawdziwie patriotycznych, pracowitych i ofiarnych obywateli, szarych bojowników o pokój i wolność. Ludziom nieznającym u nas takiej Francji polecamy wielką epopeję Aragona — „Komuniści”, która ukazuje się już stopniowo w tłumaczeniu polskim. Znajdą oni tam Francję, która jest nam bliska, która przeszła podczas ostatniej wojny podobnie do nas cierpienia pod okupacją i która dąży do lepszej i sprawliwszej przyszłości.

## Ludzie i Lewantów

Dokończenie ze str. 6

tknięciem różdżki — przeobrażał się w szczęśliwego narzeczonego, męża czy kochanka. Harmonogram fabryki czy kopalni albo budowy uzgodniony był niemal co do joty z harmonogramem serca. Błąd ten zaczęto naprawiać. Schibor-Ryński sprawił wszystkim niemale kłopot, bo jego Mamoń u zdrowił stosunki na kopalni, wydobyl ją z ostatniego na jedno z pierwszych miejsc, ale w domu miał piekło, nie uniał ułożyć swoich stosunków z żoną, był czło wiekiem w życiu codziennym — nieszczęśliwym.

W dyskusjach na ten temat dochodziło do chwilami niemal żartobliwych czy śmiesznych sformułowań: dlaczego towarzysze nie pomogli mu w walce o użarowanie żony?; czy kierownik wielkiego kolektywu górniczego może być niedojdą w kierowaniu życiem rodzinnym. Co na to organizacja partyjna, Rada Zakładowa, Liga Kobiet? Sprawa wcale nie jest śmie szna, nie dała się zbyć dawać puszkami. Człowiek jest jednością. Chce być szczęśliwym. Ma prawo do szczęścia. Jest bohaterem pracy. W kopalni — cenionym, kochanym, w domu — nieszczęśliwym, samotnym, odczuwającym ból, zadającym — ból. Problem sprzeczności został postawiony. Nie można go zlekceważyć. Trzeba go traktować jak najgłębiej. Domaga się on rozwiązania.

To, że w literaturze wyrażono tę potrzebę, chociaż tylko w sposób negatywny, to znaczy przez stwierdzenie rozbieżności — jest zasługą odwagi pisarskiej i rzetelności patrzenia na sprawy ludzkie. Samo dostrzeżenie jednak — to za mało. Za mało zwłaszcza tam, gdzie nieprzypadkowy chyba dobór sytuacji zdaje się podnosić sytuację, mimo wszystko wyjątkową, do rangi niemal zasady powszechnej.

Zajrzyjmy na chwilę do „Lewantów”. Markowski po dokonaniu trudnego i pięknego przełomu — w domu przy żonie jest człowiekiem cierpiącym, nieszczęśliwym, osamotnionym, Leon chce popełnić samobójstwo, Janina, dzielna, mądra aktywistka cierpi w rozłące. Oznacza żyje w konflikcie z sobą. Paliwoda w konflikcie z synem. Gdy konflikt ten znajdzie swoje rozwiązanie, pocznie się konflikt z Paliwodziną, Słwka (piękna postać rzetelnego stoczniowca) kocha swą żonę, cieszy się dziećmi, które ma przyjść na świat. Dziecko rodzi się martwe.

Nad bliższymi czytelnikowi postaciami Brauna zawisła jakby umowa na konweniencje rozbieżności między powodzeniem w pracy a radością życia osobistego. Ciepłotą jest jednością. Ta zasada leczy i bohaterów Brauna, ale jakże trudna to recepta: smutek, cierpienie, ból — leczy pracą, wytknięciem, osiągnięciami produkcyjnymi. Działanie bardzo jednostronne, bardzo hipotetyczne. Czuje się albo niedomówienie, albo przesadę.

Braun nie chciał popełnić błędu łatwego happy-endu. Postanowił pokazać „trudne szczęście” — jak to gdzieś określa (chyba w rozmowie z Kaczorem) Markowski. Miał zamiar odciąć się od uproszczonej zgodności harmonogramu serca i hali fabrycznej. Ale czy nie uwikłał się we własnych sprzecznościach? Czy nie zabrnął za daleko?

Nie wiem, czy trafnie odczytuję zamiar pisarski Brauna. Nie chodzi mi zresztą o ocenianie intencji. Ważne są dla mnie w tym wypadku skutki. One prowokują do pytań i wątpliwości.

Niepokoł u wielu bohaterów „Lewantów” ponurość konstrukcji ich losu. Z jednej strony triumf, heroizm, zwycięstwo; z drugiej — lzy, cierpienie, zwichnięte życie

uczuciu. Nie broimy wygodnej koncepcji życia ulatwionego, obrazów stylizowanych na „socjalistyczną” sielankę, nie zamykamy oczu na tragedię, załamania, upadki — ale skonfrontujemy pełne życie bohaterów Brauna z leżąca u podstaw jego powieści żarliwą wiarą w zdolność opanowywania życia przez człowieka, przez organizację, przez ustrój. Czegoś tu brakuje, coś się nie zgadza, coś dźwięczy dysonansem.

Chciałbym uniknąć nieporozumień. Nie chodzi o namawianie do literackiego retuszu, do przyjemniactwej selekcji faktów, której wynikiem — bełkotliwe uogólnienie bezkrytycznego zadowolenia ze wszystkiego, co jest. Broń Boże! Oby jak najrzadziej zdarzały się bezproblemowe oleodruczki, te aż nabyły uzgodnione z harmonogramami fabryk harmonogramy serca. Ale rezerwujemy sobie prawo do pytania o pełne ludzkie szczęście, zmuszamy pisarzy do wyciągania wszystkich konsekwencji z przedstawionego przez nich obrazu rzeczywistości.

Z tego prawa korzystam, stawiając swój pytańnik, który nie jest zastrzeżeniem, ale nie jest też pochwałą, jest po prostu niepokojem, rozbudzonym chwilą namysłu nad najbardziej wszystkim ludzkiem bliską sprawą: sprawą harmonii wewnętrznej, zdobywanej w walce trudnej, ale koniecznej.

★

Problemy postawione przeze mnie w tym artykule nie wyczerpują na pewno sprawy „Lewantów”. Wystarczy, jeśli ukażą zarówno bogactwo powieści Brauna, jak i jej niedociągnięcia. Niech to będzie jednocześnie zwrócenie uwagi na dosyć istotne zagadnienie polskiej powieści współczesnej realizmu socjalistycznego. Książka Brauna ma bowiem do siebie, że jest nie jako zsumowaniem doświadczeń z poprzednich etapów i jednocześnie udanym krokiem w okres przyszły.

Jest książką twórczą.

Zygmunt Lichutak

Michał Nowacki



# Kilka słów o:

## Prastyce

### MALOWIDŁA W WEYREGG

Stary, bo pochodzący z 1497 roku kościół farny w Weyregg — Austria, został niedawno odbudowany po zniszczeniach wojennych i ozdobiony freskami pędzla Karola Weisera.

Ciekawe malowidła ściennie świadczą o żywotności i nieustannym rozwoju sztuki religijnej, szczytującej się prze-



seau, tematyką jednak ci dwaj artyści są od siebie bardzo odlegli, Ernest Mc Cauley czerpie bowiem natchnienie wyłącznie z przeżyć religijnych.

### NIEZNANI MODERNIŚCI

W niewielkiej galerii Nina Gausset na lewym brzegu Sevany otwarto wystawę wczesnych dzieł symbolistów i fauwistów.

Obok obrazów Gustawa Moreau i Odilona Redona wiszą tu płótna Rouaulta Signaca, Matisa, Dufy, van Dongena, Braqua i innych. Większość z tych dzieł nigdzie dotąd nie była wystawiana.

### MŁODZI MALARZE ANGIELSCY

Wystawa młodych malarzy angielskich niedawno otwarta w salach New Burlington Galleries nosi tytuł „Zwierciadło i kwadrat”.

Wystawione tu płótna dowodzą przekonująco, że w malarstwie angielskim dokonuje się zwrot w kierunku realizmu. Życie codzienne, praca ludzka, krajobraz, dziecko — oto tematy powtarzające się najczęściej.

### MALARSTWO INDONEZJI

Zrozumiałą sensacją Londynu wzbudza wystawa prac utalentowanego malarza indonezyjskiego, Affandi, Urodzony i wychowany w Diakarta, Affandi nie otrzymał żadnego wykształcenia malarzkiego, nie należy do żadnej szkoły. Z jego płócien bije urok autentycznego prymitywu i siła żywiołowego talentu. Przejmujące są szczególnie obrazy ukazujące nędzę ludu indonezyjskiego.

## Filmie

### FILM O SPÓŁDZIELCZOŚCI PRODUKCYJNEJ

Na naszych ekranach ujrzymy niedługo jeszcze jeden nowy film dokumentalny pt. „Zaorane miedze”. Treścią filmu są dzieje gromady na Pomorzu, w której powstaje nowa spółdzielnia produkcyjna.

Film zrealizował według własnego scenariusza M. Wrocławski i W. Forbert. Autorem komentarza jest J. Szymkiewicz, zdjęcia wykonał W. Forbert.

### NOWE FILMY WŁOSKIE

Na ekrany kin włoskich wszedł ostatnio nowy film „Małż Anny Zachę” postępowego reżysera De Santisa,

treścią jego jest słynny bunt niewolników w roku 71 w Rzymie pod dowództwem gladiatora Spartacusa.

### POLSKIE FILMY W BELGII

Wielkim powodzeniem u publiczności belgijskiej cieszy się film polski „Miasto Nieujarzmione”, który ukazał się na ekranie kina „Palladium” w Brukseli 24.II br.

Z niemiejszym powodzeniem wyświetlane są w Belgii filmy polskie „Ostatni etap” i „Ulica Graniczna”.

### KINA DWORCOWE

Z ciekawą inicjatywą wystąpił Film Polski, organizując kina dworcowe — początkowo w pięciu miastach: Wrocławiu, Poznaniu, Krakowie i Słupsku. Przewidziane jest również uruchomienie kin tego rodzaju w Szczecinie i Skarżysku.

Inicjatywa ta spotkała się z wielkim uznaniem podróżnych — istnienie kin dworcowych umożliwi czekającym po drożym wygodne i kulturalne wyzyskanie wolnego czasu.

### KINEMATOGRAFIA W „WOLNYM” KRAJU

Miasto Silver City w Stanach Zjednoczonych było ostatnio świadkiem wypadków, które rzucają ciekawe światło na stosunki panujące w kinematografii amerykańskiej.

Grupa aktorów, z których większość uznana została przez hollywoodzki związek producentów filmowych za komunistów lub ich zwolenników, rozpoczęła w Silver City w stanie New Mexico nakręcanie filmu pt. „Sól ziemi”, którego akcja toczy się w kopalni ołowiu. Film ten pokazuje brutalne traktowanie przez policję amerykańską postępowych działaczy związków zawodowych oraz niedolę ich żon i dzieci zamkniętych w miejscowym więzieniu.

Producent Paul Jarrico wyraził się, że w jego kraju istnieje ogromne zapotrzebowanie na tego rodzaju uczciwe filmy i że „Sól ziemi” będzie lepszym ambasadorem Stanów Zjednoczonych niż wszystkie filmy, wyprodukowane przez Hollywood.

Niestety, obecnie małe są szanse na to, aby „Sól ziemi” weszła kiedykolwiek na ekrany, wszyscy bowiem aktorzy grający w tym filmie, jego producent i reżyser, zostali ostatnio postawieni w stan oskarżenia przed Komisją do Badania Działalności Antyamerykańskiej.

### „PANCERNIK POTIOMKIN” W PARYŻU

Po 27 latach namysłu cenzura francuska pozwoliła na wyświetlanie publiczne wspomnianego filmu Eisensteina. Od 26 listopada 1928 r., daty pierwszej projekcji „Pancernika Potiomkina” na zamkniętym klubowym pokazie w Paryżu, trwa walka postępowych filmowców, aby „Pancernik Potiomkin” ukazał się na scenach francuskich. Nic dziwnego, że reakcyjna cenzura tak bardzo obawiała się tego filmu. Dzieło Eisensteina, najbardziej znany film świata, jest nie tylko rewolucyjny w formie, ale przede wszystkim w treści.

Nawet dzisiaj, po tylu latach „Pancernik Potiomkin” robi duże wrażenie stanowiąc świadectwo prekursorstwa artystycznego Eisensteina.

### OSIĄGNIĘCIA FILMOWCÓW ESTOŃSKICH

Młoda wytwórnia filmowa w Tallinie powiększa z każdym rokiem swoją produkcję. W roku ubiegłym nakreśliła 36 kronik i 5 filmów, z których największe powodzenie osiągnęły: „Odrodzone Krenholm” i „Port młodych”.

Studium dubbingowało w języku estońskim 14 najlepszych fabularnych filmów radzieckich. Obecnie przygotowuje się dubbing dwóch najnowszych filmów radzieckich: „Kompozytor Glinka” i „Rewizor”.

### KANADYJSKA TELEWIZJA NADAJE POLSKIE FILMY

Kanadyjska stacja telewizyjna „Towarzystwo Radio Kanada” nadała w grudniu szereg audycji polskich opartych na polskich filmach: Ptasia wyspa, Święto kwitnącej jabłoni, Wyklucanie się piskląt, Paweł i Gaweł, Smok Podwawelski.

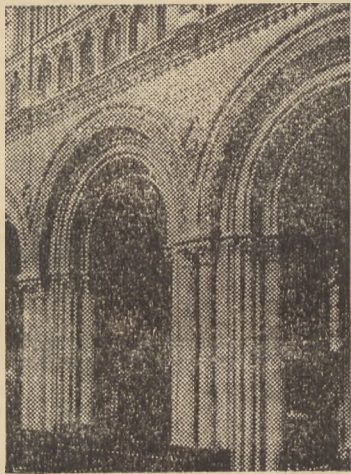
### NOWE FILMY RUMUŃSKIE

Państwowa Wytwórnia Filmowa w Rumunii realizuje szereg ciekawych pozycji filmowych. W najbliższym czasie ukończony zostanie film oparty na znanej sztuce Caragialego „Zagubiony list”. W toku realizacji są filmy „Wnukowie trębacza”, film o tematyce górniczej pt. Brygada Iomuta” oraz kilka krótkometrażów rysunkowych.

## Wszystkim

### MIĘDZYNARODOWY INSTYTUT SZTUKI ROMAŃSKIEJ

We Francji został niedawno stworzony Międzynarodowy Instytut Sztuki Romańskiej, który mieścić się będzie w opactwie Saint-Philibert w mieście Tournus. Instytut zrzeszać będzie



Łuki katedry w Bayeux

dzie architektów całego świata, zajmujących się zagadnieniami sztuki romańskiej.

Projektuje się założenie specjalnej biblioteki, wielkiego zbioru fotografii oraz dokumentów dotyczących zabytków tego ważnego okresu w sztuce europejskiej.

### STUDIUM PRZEKŁADOWE PEN-CLUBU

W trosce o podniesienie poziomu przekładów PEN-clubu zorganizował Studium Przekładowe, które będzie trwało od kwietnia do czerwca br. Wykłady odbywać się będą w Muzeum Narodowym w każdą środę w godzinach od 17 do 19. Na studium wygłoszą prelekcje wybitni uczeni i pisarze. Wykłady zainauguruje odczyt Jana Paradowskiego, prezesa PEN-clubu, pt. „Heksometr i proza”.

## Muzyce

### ŚMIERĆ WIELKIEGO KOMPOZYTORA

Ostatnio prasa całego świata doniosła o śmierci wielkiego kompozytora radzieckiego Sergiusza Prokofiewa. Dorobek twórcy jego życia jest olbrzymi zarówno w dziedzinie muzyki fortepianowej, kameralnej, jak i orkiestralnej. Prokofiew skomponował również wiele baletów i oper.

Wśród jego dzieł najbardziej znane są: Dziewięć Symfonia, Siódma Symfonia poświęcona młodzieży radzieckiej, Kanta „W obronie pokoju” do słów poety Marszalka, Uwertura Symfoniczna po świętą Kanałowi Wołga — Don oraz niezwykle często gra na Kantaletu o Stalinie.

### NOWE OPERY I BALETY W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Wiele nowych pozycji przybyło do repertuaru muzycznym Związku Radzieckiego. Niedawno na scenie Uzbekiego Teatru Opery i Baletu w Taszkencie wystawiono nową operę pt. „Wielki Kanał”, opiewającą pracę kolchoźników uzbeckich, pomyślnie przeobrażających przyrodę w swoim kraju. Autorami opery są: uzbecki kompozytor Aszrafi i kompozytor rosyjski Wasilienko.

Teatr Opery i Baletu w Kazaniu wystawił pierwszy tatarski balet narodowy „Szura le”, którego autorem jest kompozytor Jarullin. Balet ten osnuty jest na poemacie kla-

syka literatury tatarskiej Tukaja. W Ufie odbyła się premiera pierwszego baszkirskiego baletu narodowego pt. „Pamięć Zorawie”.

### NAJBARDZIEJ AMBITNA FILHARMONIA W POLSCE

Oczywiście, że mowa tu będzie o Filharmonii Krakowskiej. Wezmą tylko przekrój obecnego sezonu, któremu zrewizję daleko jeszcze do końca, i spojrzmy, co się tu dzieje już i co się jeszcze będzie działo: Gluck („Orfeusz”), Bach, Haendel, Vivaldi, Haydn, Mozart („Requiem”) Beechoven (IX i w planie „Missa Solemnis”), Schubert, Schumann, Liszt, Chopin, Wagner, Franck, Czajkowski, Rachmaninow, Strauss, Borodin, Korsakow, Ravel, Debussy, Roussel, Prokofiew, Bartok (Sona- ta na dwa fortepiany i perkusję), Respighi, Szymanowski, Szostakowicz, Kodaly, Bacewiczówna, Panufnik, Szeligowski, Perkowski, Serocki, Baird, Krenz, Machl, Dobrowolski... żeby wymienić tylko „tych” największych.

Zaiste, tak wszechstronnie i bogato nie jest zaopatrzone repertuarowo żadna z naszych Filharmonii. Wszystkie epoki i style, całą niemal muzyka współczesnych kompozytorów polskich. A do tego pierwszorzędne, prawie zawsze, wykonanie. Brawo Filharmonia Krakowska i jej dyrygent i kierownik artystyczny, dyr. Wodiczko!

## teatrze

### WYDARZENIE TEATRALNE SEZONU

Ostatnio dużym wydarzeniem kulturalnym w Paryżu stało się wystawienie sztuki wielkiego romantyka francuskiego Alfreda de Musset pt. „Lorenzaccio”.

Na podkreślenie zasługuje ciekawy fakt, że dotychczas rolę Lorenzaccio, młodzieńczego i przewrotnego księcia włoskiego, grały zawsze kobiety, między innymi w roku 1896 grała ją Sarah Bernard. Teraz w roli tytułowej wystąpił popularny aktor Gerard Philippe.

Reżyserem sztuki jest Jean Vilar, znany ze swych oryginalnych koncepcji teatralnych. Obecnie pracuje on nad przystosowaniem na scenę genialnego arcydzieła Lwa Tołstoja „Wojna i pokój”.

## W niedzielę palmową...

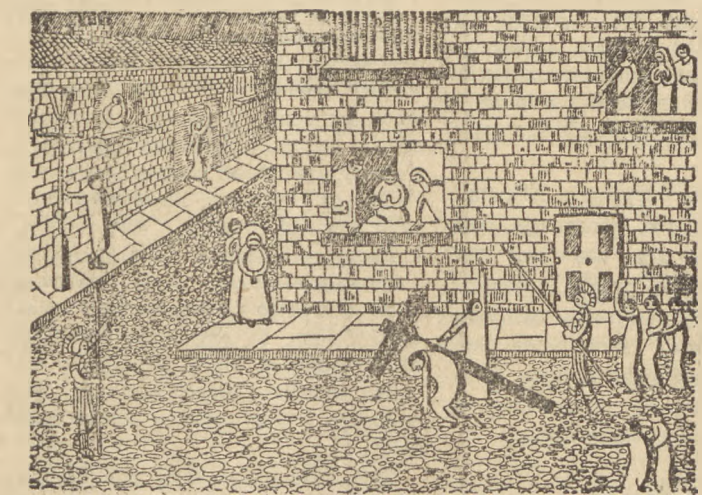
SZESZC zwykłych tygodniowych dni przynosi tyle wrażeń, zaprzata swoim bujnym działaniem się, że mało zostaje czasu na refleksje, na uważne przyjrzenie się temu wszystkiemu, co wokół rośnie i pięknieje z każdą chwilą. Dopiero w niedzielę jest okazja, aby poświęcić się trochę po mieście, przyjrzeć się nowym ulicom i domom, porozmyślać. Szczególnie, jeśli dzień jest światły i tak piękny jak dzisiaj, poranek przynosi tyle słońca, niebieska, leciutka mgła niknie w perspektywach nowych ulic i zaprasza do wycieczki. Ludzie krążą trochę wolniej niż zwykle, niosą pęk srebrnoróżowych bazi, symbol tego dnia. Niedziela Palmowa jest szczególnym świętem. Przez jej słoneczną radość prześwieca już smutek wielkopiątkowy. Za parę dni kościoły powloką się fioletem i przyciemnią, jakby je przysypało popiołem. Umiłną dzwony i nadejdzie pora rozmyślań, czas rekolekcyjny, chwila w całym roku najbardziej wybrana, aby policzyć własny niepokój, posłuchać, o czym natarczywie nawołuje sumienie, przygotowane codziennym halasem. Wtedy z samego dna, z najdalszych zagubionych dni dzieciństwa wraca wspomnienie chłodu Wielkiego Tygodnia, mieszając w nim gorzki zapach wystygłych kadzideł i słodką woń hiacyntów. Migotanie lampek przy grobach, śpiew psalmów, nieustająca fala ludzka płynię przez kościoły. To

wszystko mieści się w tym wspomnieniu i chyba w żadnym okresie roku kościelny liturgia nie ukazuje tyle nieodpartego piękna, jak w tym tygodniu, który językiem symbolu i uroczystości opowiada dzieje Męki Pańskiej. Ale ten trwały, zaciemniony fioletem okres zapowiada już chwilę Zmartwychwstania, tę chwilę, która czeka tam, na końcu pokutnych dni, jak światło.

Przejmująca jest symbolika Wielkiego Tygodnia, a tu w Warszawie przemawia ona w sposób szczególnie wymowny, bardziej zrozumiały w mieście zadreżonym na śmierć, a teraz dźwigającym się do życia. Skorzystajmy z pogodnego czasu i przyjrzyjmy się kościołom Warszawy. Jeszcze niemal wczoraj wydawało się, że nic nie wyrwie ich z kręgów zniszczenia. Na Placu 3 Krzyży rozdarła tragicznie rotunda św. Aleksandra ziemia jak krater księżycowy. W rozwalonej katedrze wznosiły się jeszcze barykady i trwał jakby zakrzepły w powietrzu zamęt walki, a kościół św. Krzyża pochylał się nad rumowiskami, niby wrak rozbitego okrętu. Ale mijał czas, pracowity czas odbudowy. Krok za krokiem z uporem, z szaleństwem zrozumiałym tylko dla tych, którzy wiedzą, czym jest miłość dla najdroższego miasta, budowano Warszawę ze śmiertelnego letargu. Powracali domy i ulice na dawne miejsca, pomniki odrastały niby wiosenne drzewa. Kościoły znów podnosiły

ku niebu wieże. Niedziela jest tak szeroka, pełna dźwięcznego powietrza, spróbujmy przemierzyć Warszawę, przejdź jej najpiękniejszą arterią, „drogą królewską”, która wiedzie od Belwedera do Zamku. Wszystkie kościoły, które mijamy po drodze, głośno swym kamiennym pięknem wielkość wiary. Spójrzcie, jak lekko rysuje się profil św. Aleksandra na tle rozległego nieba. Kościół oczyszczony z przyciężkich ozdób i szkatkerii, skromniejszy, ale bardziej klasyczny harmonizuje tak dobrze z tym placem i dniem. Kościół św. Krzyża jeszcze w bandażach rusztowań znów prostuje wieże nad Warszawą, widoczne są daleka, akcentujące wspaniałe perspektywę Nowego Świata. Mijamy po drodze kościół Wzytek, który oszczędziła zagłada. W głębi pośród bukietu pnących się wzyw domów Starówki rośnie katedra. Prosta i szlachetna w rytmie, jej masyw ukazuje się wyraźnie, jak na starej rycinie, a gołębie, jak dawniej, krążą wokół katedralnych sklepień, ledwo wyzwołanych z rusztowań. Na prawo smukłe dzwonnica św. Anny i świeci nad Marienształem, niby symbol odrodzonego miasta. Zapada zmierzch wiosenny. Jutro rozpocznie się Wielki Tydzień. Od budowane domy Boże wypełnią się tłumem wiernych, zakwitną światła u grobów, a później uderzą dzwony na święto Zmartwychwstania.

M. B.



Pierwsza wystawa jego dzieł została ostatnio otwarta w Ashley Gallery w Londynie.

Mówiąc o swych obrazach Ernest Mc Cauley podkreślił, że jego zasadniczym założeniem jest osiągnięcie siły wyrazu artystycznego jak najprostszymi środkami. Z racji tego prymitywizmu dzieła jego można by porównać do obrazów znanego francuskiego malarza-samouka Henri Rous-

seau, tematyką jednak ci dwaj artyści są od siebie bardzo odlegli, Ernest Mc Cauley czerpie bowiem natchnienie wyłącznie z przeżyć religijnych.

twórcy m. in. „Nie ma pokoju pod oliwkami” i „Rzym godzina 11”, w którym występują popularni aktorzy włoscy, Amadeo Nazzari i Silvana Pampanini. Drugim niedawno ukończonym ciekawym filmem włoskim jest „Spartacus” reżyserii Ricardo Fredy z Massimo Girotti (znanym w Polsce z filmu „Pod niebem Sycylii”) w roli tytułowej. „Spartacus” jest wielkim filmem historycz-

Redaguje zespół.

Prenumerata miesięczna 1.80 zł. Kwartalnie 5.40 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, I p., tel. 880 71, 880 26.

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Drukarnia Akcydensowa, Warszawa, Tamka 3. Zam. 662.4-P